№ 18. Warszawa, dnia 17 (29) Kwietnia 1876 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

POGADANKA.

Gdyby kto zapytał, co robiła Warszawa przez ostatnie tygodnie postu, możnaby odpowiedzieć bez wahania, że zalaną była powodziami harmonji i wymowy; koncerty następowały po odczytach, odczyty po koncertach, przeszkadzając lub ustępując sobie wzajemnie, z czego wypadło podobno, że nie wszystkie odbyły się dotąd.

Oprócz tego w teatrze były ciągłe uroczystości muzyczne, a raczej występy panny Donadio w operze włoskiej i wspaniała Msza rekwijalna Verdi'ego śpiewana tak przez włoskich jak i naszych artystów, która zachwycała wielu a gniewała jeszcze więcej i ostatecznie ofiarowana ubóstwu na dochód dobroczynności, padła aby więcej nie powstać zabita obojętnością Warszawy.

Powiadają, że przyczyną tego brak zupełnego w kompozycyi tej religijnego namaszczenia. Dziwne wymaganie! Dziś tyle wielkości bez zasług, tyle zasług bez czynów, tyle czynów bez serca, dla czegóżby i kompozycya religijna nie miała się obejść bez namaszczenia!

Pomiędzy koncertami odznaczył się wybitniej wieczór deklamacyjno-muzyczny pani Rakiewiczowej, w którym wzięły udział pierwszorzędne siły naszego teatru.

Pani Modrzejowska z panią Rakiewiczową odegrały kunsztowny utwór Coppego *Dwie boleści* który podobno ma być włączony do repertuaru teatralnego jako dość nudny i... usypiający. Pan Królikowski wypowiedział piękny i zbyt mało znany wiersz pana Kazimierza Kaszewskiego *Zamknięcie cyrku* a Żółkowski przedstawił Smakosza z Przyjaciół Fredry i zwyczajem swoim umiał wlać w tę nieco przesadzoną postać prawdę i naturalność zupełną.

Publiczność oceniając zasługi pani Rakiewiczowej i chętny udział jej kolegów artystów, zgromadziła się tak licznie jak tylko pozwoliły na to rozmiary sali w resursie obywatelskiej. Bardzo wiele jednak osób jedynie dla braku biletów, które na tydzień naprzód rozkupione były, nie mogło skorzystać z pięknego widowiska, co uszczupliło znacznie dochód jaki osiągnęłaby benefisantka, gdyby Warszawa posiadała salę odpowiednią.

Na nieszczęście nie mamy jej, a chociaż mówiące między nami, brakuje nam bardzo wiele innych rzeczy, ale brak sali nieraz daje się uczuć niezmiernie dotkliwie.

Mieliśmy tego dowód na prelekcyach profesora Tarnowskiego. Mury wielkiej ratuszowej sali, rozpierał nieledwie tłum słuchaczów, a ci co byli dość szczęśliwi, by zdobyć chociaż tylko prawo wejścia na odczyt, przychodzili na parę godzin naprzód, byle pomieścić się bliżej katedry, zkądby mogli jeśli nie widzieć to słyszyć przynajmniej.

Na powodzenie tych prelekcyi złożyło się bardzo wiele czynników: piękna wymowa prelegenta, przedmiot pociągający i mitra hrabiowska zdobiąca jego nazwisko, nowość u nas przynajmniej dotąd niepraktykowana.

Po skończeniu sala drżała od oklasków i okrzyków. Słowem, jak się dowcipnie odezwało jedno z humorystycznych pisemek, profesor Tarnowski naczył nas słuchać.

I rzeczywiście, korzyść odniesiona pod tym względem przynajmniej, pokazała się zaraz na następnej prelekcyi pana Slósarskiego *„O najniższych organizmach"* na którą także pomimo ścisłej naukowości przedmiotu, zastęp słuchaczów był bardzo liczny i oklaski bardzo szczere.

Odczyty zatem wcale nie wyszły z mody, jak się odzywano tu i owdzie, a my dodamy iż wyjść z mody nie mogą. Znajdzie się zawsze w Warszawie, zastęp ludzi myślących, umiejących cenić rozrywki umysłowe.

Osady rolne w tym roku nie małą korzyść z odczytów odniosły, pożyteczna ta instytucya, uzyskała już sankcyę urzędową, i wprowadzenie do kodeksu karnego małoletnich przestępców. W przyszłym miesiącu więc Studzieniec ma być zaludniony i osady rolne faktycznie przyjdą do skutku.

Odczyty na korzyść tych ostatnich, nie powinnyby jednak społeczności naszej usuwać z myśli, skromnych dziesięcio-groszowych odczytów niedzielnych, przeznaczonych dla sług i rzemieślników w tym roku zaniechanych zupełnie. Powodu nie badamy, zaznaczamy tylko fakt, tem smutniejszy, iż w ogóle potrzeba szerzenia oświaty coraz bardziej czuć się daje i coraz więcej znajduje czynnych jej zwolenników. Dowiadujemy się np. iż we Lwowie p. Żuliński założył szkołę niedzielną dla kucharek. Jakżeby szkoła podobna potrzebną była w Warszawie, narzekającej aż do znudzenia na niemoralność i zepsucie służby, dla której nic nie robimy, aby była lepszą i moralniejszą.

Ześrodkowanie sił, oto tajemnica wielu przedsięwzięć i wielu powodzeń. Gdyby prawda ta potrzebowała dowodów moglibyśmy zacytować ich wiele. Obecnie jednak mamy na myśli stowarzyszenie ociemniałych, byłych wychowańców tutejszego wzorowego instytutu, którzy utrzymując się wspólnie za pomocą rzemiosł, a głównie muzyki, są jeszcze w stanie przyjść w pomoc nieszczęśliwszym od siebie.

Ociemniali ci, urządzają w lokalu swoim przy ulicy Piwnej koncerta, ma się rozumieć na nie wielką skalę, za nie wielką opłatą 30 kop. od osoby, i całkowity dochód ostatniego z nich, wynoszący wyżej 60-ciu rubli, przeznaczyli na wsparcie, dla starej matki zmarłego niedawno kolegi, który był jej jedyną podporą. Fakt ten drobny ale pocieszający dowodzi że nie ma na świecie istot wydziedziczonych, byle tylko społeczeństwo nie szczędziło im rozumnej pomocy. Przy niej żebracy przemieniają się w pracowników, istoty potrzebujące nieustannej opieki, na dających opiekę a w sercach zrozpaczonych wątpią-

cych powstają poczucia godności własnej, najsłodsze uczucia, możność zawiązania rodziny, błogosławieństwo jakie ona zsyła.

Kiedy jednak z jednej strony, widzimy powróconych niejako ludzkości takich, których kalectwo zdawało się z niej wyłączać, z drugiej mnożą się wypadki samobójstwa. Pod tym względem niestety, kronika ostatniego miesiąca, połączona z nader dramatycznemi okolicznościami. Owdzie młody człowiek zastrzela się na Powązkach, obwiniając o śmierć swą... kobietę; tu dziecko nieledwie, 17-letni izraelita, ucieka w świat lepszy, przed ciemnotą i fanatyzmem współwyznawców; tam znowu ojciec zabija nie tylko siebie, ale i ukochane córeczki, ażeby im zbyt źle na świecie nie było. Wszystko to świadczy o jakimś głębokim rozstroju społecznym nurtującym wszystkie niemal sfery.

Łudzić się pod tym względem nie można; samobójstwa, zbrodnie, kradzieże mnożą się w przerażający sposób. Ogłoszony wykaz statystyki kryminalnej u nas, wykazuje coroczny wzrost przekroczeń karnych, więcej bez porównania we wsiach jak w miastach praktykujących. Nadto wykazuje jeszcze zwiększanie się systematyczne liczby małoletnich przestępców i główne rekrutowanie się winowajców z klasy pozbawionej wszelkiego naukowego światła. Na piętnaście tysięcy przeszło dotkniętych karą kryminalną w jednym roku 1875, posiadających pewne wykształcenie było osób tylko 225; umiejących jedynie czytać i pisać już pięć razy więcej 1,109, a nic nie umiejących przeszło sześćdziesiąt razy więcej, bo aż 13,764.

Cyfry to nader wymowne: pisma nasze codzień prawie notują rozmaite smutne objawy tego anormalnego stanu, a jeśli nie podają jakiejś tragicznej historyi, dowiadujemy się z nich co najmniej, że jakiś kantorowicz z pieniędzmi pryncypała umknął za granicę.

Pokusa musi widocznie leżyć w samym rodzaju zajęcia kantorowiczów, która w połączeniu z pokusami jakie stawia im wiek młody i wielkie miasto wytwarza owe peryodycznie powtarzające się przeniewierstwa.

Gdyby w kantorach zamiast młodych ludzi prac owały kobiety, pieniądze pryncypałów byłyby z pewnością bezpieczniejsze. Kobiety chcące i umiejące pracować, dają tem samem wszelką gwarancyę moralności. Praca w kantorach nie jest uciążliwą ani fizycznie ani umysłowo, sądzimy iż przy otwarciu podobnego zarobku dla kobiet, garnęłyby się do niego chętnie i nabrały stosownego uzdolnienia.

Ale niestety! zwyczaj na to nie pozwala.

Mimo tego, kobiety nasze uczą się skwapliwie buchalteryi i są dobremi buchalterkami... o ile mają ojca lub męża, który im tę czynność powierza.

Być jednak może iż ten arytmetyczny pierwiastek mieszający się coraz bardziej do życia i wychowania, wyda wreszcie praktyczne rezultaty.

Widzimy naprzykład usiłowania reformy w zbytkowych strojach, zbyt pocieszający byśmy go wspomnieć nie mieli. Oto zawiązał się na Pradze klub rodzinny, którego ustawa wyraźnie zabrania strojów zbyt wytwornych. O Prago! dajesz piękny przykład rozsądku, swojej świetnej siostrzycy Warszawie; oby cię naśladowała, a co więcej, obyś ty sama wytrwała na tej drodze, nie zrażona śmiechem jednych, lekceważeniem drugich, a trzecich powątpiewaniem.

Obecnie pomiędzy przedstawicielami piśmiennictwa naszego panuje epidemija dramatyczna spowodowana widocznie konkursami.

Warszawska komisya konkursowa ma ich do odczytania aż 42, nie licząc odrzuconych z góry jak np. Trzy Flory pani Smolińskiej z Chicago, które już podane były do konkursu krakowskiego, i chociaż tam nie zyskały nagrody, zalecone jednak zostały do grania.

W każdym razie ten głos bratni dolatujący do nas z drugiej strony półkuli, jest ciekawy i pociągający: literatura rozwijająca się pod wpływem innego nieba, innych okoliczności i obyczajów przynieść nam powinna jakieś nowe żywioły i chociażby z tego powodu, pragnęlibyśmy ujrzeć Trzy Flory na scenie.

Obiecują nam także nowe codzienne pismo pod tytułem Antrakt, zajmujący się wyłącznie sprawami teatralnemi pod kierunkiem Aleksandra Niewiarowskiego, który był najpierwszym prawdziwym u nas fejletonistą piszącym ongi pod znakiem gwiazdki.

Zanim jednak Antrakt ujrzy światło dzienne i odbierze chrzest druku, zapowiadają nam popularne wydanie dzieł Szajnochy, historyka poety, co tak umiał uplastycznić minione epoki i nić historyczną przystroić złotobarwną tkanką wyobraźni. Pierwszy tom już wyszedł z pod prasy. Z dzieł lekkiej treści mamy zbiorowe wydanie powieści Jeża i Dzierzkowskiego i wydawca tych wszystkich publikacyi, pan Unger zamierza zebrać sceniczne utwory Zygmunta Sarneckiego.

Czyżby ten zwrot wydawców naszych do tak niedalekiej przeszłości, miał być dowodem zastoju piśmiennictwa obecnego lub małej jego wartości? Dawniej jednak literatów z profesyi nie znano, dziś gdzie zajrzysz wszędzie z nim spotkasz się oko w oko: wprawdzie nazwę tę dobrze nadszargano, ale... koniec końcem jest ich zastęp niemały, pewnych że według wyrażenia poety, bryłę świata pchną na nowe tory.

Nim to nastąpi godna jest uznania i poparcia rzucona myśl przez lekarza wolno praktykującego w Warszawie p. Marcina Rozenfelda założenia domu przytułku dla lekarzy inwalidów, oraz wdów i sierot po nich pozostałych. Na przykładach domagających się na gwałt tej opieki nie brak na nieszczęście. Konieczność ratowania się o własnych siłach we wszystkich kierunkach ustroju społecznego wzmaga się, usiłowania mnożą się, miejmyż więc nadzieję, że i zacne podniesienie głosu przez doktora Rozenfelda Marcina, wywoła oddźwięk tam gdzie tego spodziewać się należy. Radzimy tylko szanownemu wnioskodawcy, praktycznie więcej szczegółowo rzecz całą opracować, bo od myśli choćby najpiękniejszej do czynu bardzo długa prowadzi droga, projekt zaś gotowy skraca ją niewymownie.

Rozrywki świąteczne zepsute zostały deszczem, który rozpadawszy się w wielki piątek, raczył Warszawę przez święta miłym błotem i zimową temperaturą. Zniweczyło to zapewne nie jeden projekt zabawy, ale za to ścisnęło więcej kółka rodzinne.

Szczęśliwi ci co zarówno w świetnych apartamentach jak na poddaszach, z czystem sumieniem i wesołem sercem, dzieląc się z ukochanemi pamiątkowem święconem, mogli radośnie powtórzyć: alleluja!

Obecna pora cieplejsza z pogodą połączona zaczyna się jakoś utrwalać, jakby na przekór południowej Francyi zasypywanej śniegiem z wielką szkodą rozwijających się zasiewów. W ślad za tem ciepłem promiennem i wypływającą z niego zielonością, Warszawiacy gotują się na wycieczki majowe i słuchanie koncertów orkiestry złożonej z trzydziestu jeden dam i siedmiu mężczyzn znanej już ze swych popisów na wystawie wiedeńskiej. Jest to nowość po raz drugi przedstawiająca się w Warszawie w znacznie większem towarzystwie. Powodzenie jej pewne, gdyż wykonywaniu sztuk odgrywanych nic zarzucić nie można, jak to potwierdzi każdy z podróżników będących na wystawie w Wiedniu. Warszawa pragnąc zapewne pokazać się cudzoziemskim artystom w całym blasku swojej świetności, postanowiła aż *o czterdzieści* nowych latarni gazowych powiększyć swoje oświetlenie. Ach! czemuż, jak powiada Wiek, nie o czterysta przynajmniej!

SCHERZO.

(Na pamiątkę kaprysików Maryni).

Szybki z okna, kafla z pieca,
Gwiazdki chce się z nieba —
Tych warunków nieodmiennie
Do szczęścia mi trzeba....

Próżno mi tam kto przekłada
Świata system ścisły,
Do duszy mi nie trafiają
Pedantów wymysły —

Szumią rady w koło uszu
Jak wicher po lesie;
Szybki z okna, kafla z pieca
Gwiazdki z nieba chce się!...

Szybkę, może bym dostała —
Choć z trudem nielada —
Kafla — możnaż piec rozburzyć
Łatwa na to rada.

Ale ja nad wszystko pragnę
Jednej gwiazdki z nieba,
I tej mi, oh! nieodmiennie
Do szczęścia potrzeba!

Nie! szczęśliwą być nie mogę
Bez mojej gwiazdeczki,
Oddam za tę jedną wszystkie
Cacka i kwiateczki...

Nie chcę uwag, ni morałów:
Wy ludzie nie wiecie,
Że gwiazdeczka najpiękniejsza
Nad wszystko na świecie.

Kto chce szczęściem mię obdarzyć,
Niech gwiazdkę przyniesie —
Szybki z okna, kafla z pieca
Gwiazdki z nieba chce się!

Marya Szeliga.

ZAKŁAD RĘKODZIELNICZY
DLA KOBIET.

W sprawozdaniu naszem jeszcze w roku zeszłym ogłoszonym p. t. Spółka połączonej pracy kobiet, pomieszczono i uwagi dotyczące Zakładu rękodzielniczego dla kobiet, który ze Spółką pracy kobiecej nie ma żadnej łączności. Obecnie Zarząd tego Zakładu nadesłał nam odpowiednie uwagi, jakie bez żadnej zmiany pod sąd Czytelniczek poddajemy.

1). W sprawozdaniu naszem z r. 1874, powiada występujący w imieniu Zakładu, z powodu że 71 kobiet opuściło Zakład przed złożeniem egzaminu, oświadczono: że to nastąpiło z braku wytrwałości i zamiłowania pracy, co rzeczywiście tak było, gdyż w pierwszem roku istnienia Zakładu, większa połowa uczennic przybywała do Zakładu, bez należytego namyślenia się i przygotowania; po rozpoczęciu zaś

kursu, gdy spostrzegły, że Zakład jest bardzo wymagający, nie znalazły w sobie tyle wytrwałości, ażeby oddać się na prawdę nauce przez przeciąg 6-cio miesięcznego kursu i po dwóch miesiącach opuszczały Zakład. Autor artykułu w Tygodniku inaczej sobie te rzecz tłomaczy, robiąc Zakładowi zarzut, że musieli nauczyciele źle wykładać i wywołali przez to takie zniechęcenie. Że w Zakładzie naszem są doborowi nauczyciele, o ile można było znaleść ich w Warszawie, dołączam wycinki z Kuryera Codziennego, z których można poznać jakim sposobem Zakład dobierał sobie nauczycieli, przy otwarciu i organizacyi Instytucyi. Zresztą $^2/_3$ całego rozchodu idzie na skład nauczycielski, którzy biorą codziennie od jednego do dwóch rubli za dwugodzinny i jednogodzinny (buchalterya) wykład. Zdaje się, że za tę płacę można było ściągnąć w Warszawie najzdolniejszych ludzi, co rzeczywiście też stało się.

2). Sprawozdawca Tygodnika radzi nam, ażebyśmy zaprowadzili stałe termina rozpoczynania kursów, jak to ma miejsce w zakładach naukowych. Zakład nasz, jako Instytucya zupełnie u nas nowego pomysłu, nie mając przed oczyma przykładu, gdzie mógł coś skorzystać i przyjrzyć się, jak ma rzecz prowadzić, musiał sam sobie drogę torować, robić różne doświadczenia i tylko przy wielkiem poświęceniu i pracy mógł dojść do tego, że w końcu pierwszego roku istnienia ustalił ostatecznie swój porządek wewnętrzny, a w drugim ogłosił publicznie całą wewnętrzną organizacyą, przeciwko której jednak żaden głos i pismo nie wystąpiło.

Pierwsze kompleta rzemiosł w 1873 r., Zakład poprowadził tak, jak autor tego pragnie, t. j. rozpoczął ich jednocześnie dla wszystkich uczennic danego kompletu. I cóż się okazało? Oto w komplecie złożonym z 12 uczennic, zaraz w drugim tygodniu Nauczycielki zmuszone były naruszyć wspólny wykład, gdyż uczennice zdolniejsze szły prędko i domagały się, ażeby ich dalej prowadzono; słabsze zaś pozostały w tyle i nie mogły już potem dopędzić swoich koleżanek. W końcu, ażeby naukę ze wszystkiemi jednocześnie ukończyć, wypadło przedłużyć kurs dla mniej zdolniejszych uczennic; te zaś co prędzej wykończyły, przestały uczęszczać na lekcye — wyczekując dnia egzaminu. Jednak Zakład postanowił zrobić jeszcze raz próbę i z nowo-przybyłemi w początku 1874 r. uczennicami drugich kompletów, znowu rozpoczął jednocześnie kurs, po złożeniu egzaminów przez pierwsze kompleta. I tym razem powtórzyła się ta sama chistorya, a że jeszcze w dodatku przyjechało z Litwy kilka osób i domagało się ażeby niezwłocznie były przyjęte do wykładu, gdyż utrzymanie ich w Warszawie drogo kosztuje i nie mogą wyczekiwać nowych kursów, — przeto Zakład ostatecznie miał sposobność się przekonać, że taki porządek w wykładach jest niepraktyczny, nawet niemożebny, bo byłby ze szkodą zdolnych uczennic i przybywających z dalekich stron (Pruss, Ukrainy i t. d.), dla których niezwłoczny wykład jest koniecznym.

To spowodowało że już *trzecie* kompleta z rzędu musieliśmy urządzić na sposób, jak to ciągle i dotychczas ma miejsce t. j. że nauczyciel lub nauczycielka kurs naukowy z każdą z osobna prowadzą uczennicą, tak że w kompletach nie ma nigdy nawet dwóch uczennic, które by jednocześnie rozpoczynały i kończyły naukę. Jestto mozolnem i pracowitem dla nauczycieli, lecz czas tak ich do tego wprawił, że teraz nie robi to im już różnicy, ponieważ każdy komplet ma stale ograniczoną liczbę uczennic. Autor zapytuje się, co będzie jak zgłosi się do kompletu 15, 20 pragnących nauki? Takich wypadków nie bywa gdyż jak się na jakie rzemiosło zgłosi więcej nad komplet, wtenczas otwiera się drugi komplet tego samego rzemiosła, w innych godzinach, przy wykładzie nowego Nauczyciela lub Nauczycielki. Same zaś kompleta co do liczby są różne: rękawicznictwo 6 uczennic, introligatorstwo 9, kwiaty 10, krawieczyzna 12 i t. d. Są to liczby ostatecznie największe, ale — bywa często i mniej w kompletach.

Że taki system prowadzenia nauki jest najdoskonalszy, to mieliśmy się już czas przekonać, gdyż każda z uczennic nie oglądając się na swoje koleżanki, prowadzi naukę powoli, systematycznie, tak że nawet i mniej zdolne, przy końcu kursu spożytkują o tyle rzemiosło, że umiejętność jego może im byt w przyszłości zapewnić. Przy wspólnych wykładach, jak tego żąda Autor, taki rezultat nigdy nie mógłby być osiągnięty.

Trzeba jeszcze dodać że oprócz wykładu w Zakładzie, każda z uczennic ma zadaną lekcyę do wykonania czegoś co dzień w domu; na drugi dzień musi okazać Nauczycielowi swoją pracę lub wyrób.

Dodajemy że kursa rzemiosł są różne, trwające od dwóch miesięcy aż do siedmiu, pytamy się zatem: jakim sposobem można było ich jednocześnie rozpoczynać i kończyć? Ogłaszać zaś o każdem rozpoczęciu nowych wykładów rzemiosł, byłoby bardzo niepraktycznem, gdyż wywarłoby zamieszanie w publiczności, gdyż tylko ten mógłby to zrozumieć, kto się uczył już w Zakładzie i ma bliższe o tem pojęcie, przytem np. „krój sukien" (2 mies.) musiałby sześć razy rozpoczynać w przeciągu roku swój kurs szkolny, inne rzemiosło 3 razy i t. d.

Naumyśnie rozpisaliśmy się obszernie w tej materyi, gdyż kwestya wykładów nauk i rzemiosł jest bardzo ważną i spodziewamy się że nowo zaprowadzony porządek przez nasz Zakład, kiedyś się doczeka ogólnego uznania i tego pożytku, jaki kraj może z czasem uabyć z pracy naszej Instytucyi.

NIEZROZUMIANY

OBRAZEK KARNAWAŁOWY

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Ciąg dalszy).

Podczas gdy w domu państwa Piotrów tak rażąca niezgoda co do kwestyi przedślubnych panowała, posunął się karnawał szybkim krokiem do ostatecznej swojej godziny, w której miał się na maskaradzie szaloną zakończyć galopadą. Ze względu więc na taki przewidziany koniec, który co roku systematycznie się powtarzał, zaczęto na seryo brać się do rachunku, aby sobie jaki taki bilans ułożyć. Matki, ciocie i babunie obliczały starannie wszystkie wieczorki tańcujące, obliczyły koncerta, teatra i odczyty, aby do jakiegoś widomego przyjść rezultatu. Panny liczyły spotrzebowane toalety, tańce, spojrzenia, słówka i półsłówka a kawalerowie zajęli się ułożeniem w tuziny zbrukanych białych rękawiczek i chustek, nie licząc w to podpisanych nazwiskiem i imieniem małych podłużnych papierków, które po tym akcie przechodziły do rąk usłużnych żydków.

Rezultat takiego rachunku był różny, a stosownie do tego obiecywali jedni po środzie popielcowej serdeczną i rzeczywistą pokutę, inni zaś odkładali skruchę swoją do spowiedzi wielkanocnej chcąc jeszcze coś skorzystać z rautów wielkopostnych.

Jedną z matek, które najwcześniej rachunki swe rozpoczęły, była pani Aurelia, szczęśliwa matka dwóch córek, które wykwintnie się ubierały i w loży pierwszego piętra nie małe na spektatorach sprawiały wrażenie.

Obie siostry wyglądały na czerwonem tle tapetów bardzo okazale. Jednego wzrostu i jednej tuszy miały zawsze jednakie toalety. Twarze były także do siebie podobne, jak dwa obrazy do jednej należące szkoły. Z tego może powodu nikt nie wiedział, która była starszą a która młodszą. Dowcipni utrzymywali, że pani Aurelia umyślnie utrzymywała kawalerów w niepewności, aby bezwzględnym instynktom serca nie stawić żadnych przeszkód. W każdym razie pierwej wybrana mogłaby przyjąć na siebie rolę starszej, przez co stałoby się zadość zwykłemu biegowi rzeczy i tradycyom obyczajowym.

Dzięki takiej miłości macierzyńskiej, obie córki Paulina i Petryna stały się zaraz z początku karnawału przedmiotem nie małej ciekawości. Każda niepewność i zagadka wzbudza pewien interes, a że do niepewności pierworodztwa przyczyniła się także i niepewność materyalnej pozycyi, kunsztownie przez matkę osłanianej, nic więc dziwnego, że w domu pani Aurelji zebrał się dosyć znaczny zastęp młodzieży karnawałowej. Jedni starali się odgadnąć, która z siostr bliźniaczych jest starszą i w tym celu zawierali z drugimi zakłady — innym chodziło znowu o wyjaśnienie pozycyi materyalnej choćby tylko... ot tak dla ciekawości, jak utrzymywali w potocznej z towarzyszami rozmowie.

Byli między nimi i tacy, którzy — nie wiedzieć z jakiego powodu — inaczej przedstawiali innym to, o czem sami się dowiedzieli.

— Mam dla ciebie dobrą nowinę — szepnął na jednym wieczorze wysoki mecenas swemu siostrzeńcowi do ucha, dowiedziałem się z pewnych źródeł, że pani Aurelia ma dwie, czyste jak bursztyn wioski w ziemi podolskiej.

Pan Horacyusz podkręcił wąsik, odwrócił szapoklak błękitną podszewką do góry i z twarzą rozpromienioną posunął się do Pauliny.

Po godzinnej rozmowie uchwycił go pan Tyburcy za poły fraka i zapytał:

— Rozmawiałeś jak zakochany!... Czy to panna posażna?

Pan Horacyusz wytarł szkiełko od lornetki, odkrząknął kilka razy i odparł:

— Ani jedno, ani drugie! Rozmawiałem... ot dla przepędzenia czasu — panna, jak mówią, nie ma posagu, matka goni ostatkami.

Pan Tyburcy uwierzył i zwrócił się do fotelu, na którym w wygodnej pozie siedziała wdówka, bawiąc się złotą bransoletką.

— Ciekawy jestem—zapytał pan Tyburcy, o czem pani marzysz bawiąc się — złotem szesnasto-karatowem?

— O sercach wrzącej temperatury! odpowiedziała czarnooka wdówka z pewnym tajemniczym uśmiechem!

— Tak... złoto przypomina mi zawsze serca, a serca mimowoli nasuwają mi złoto holenderskie przed oczy.

— Czy dostałeś pan odkosza, że z taką ironiją mówisz o sercach?

— Mówię to może... w przywidzeniu! Łaska kobiet tak zmienna!

— Radzę panu zatrzymać się dłużej w dzisiejszem miłem złudzeniu... a teraz mówmy o drugich!

— Słowa pani straszą mnie!

— Jestem może w tej samej co i pan obawie.... ale nie trzeba przesądzać przyszłości! Jakże się

pan bawiłeś z panną Petryną podczas kontredansa? Miła panienka, mówią że posażna!

Pan Tyburcy z pogardą machnął ręką.

— Musiałem z nią rozmawiać—odparł—bo z nią tańczyłem, ale mówiąc do niej, myślałem że z panią rozmawiam!

— Za chwilę powiesz pan to samo Petrynie! Ale muszę pana zmartwić!

— Czy jest dla mnie jakie inne zmartwienie prócz....

— Posłuchaj pan! Panna Petryna ma bardzo niebezpiecznego konkurenta!

— Konkurenta?

— Pana Rafała!

— Pan Rafał... konkurent jakich mało. Szyk, majątek i sperandy po dwóch bezdzietnych ciociach! Jedna tylko rzecz mnie zadziwia. Pan Rafał mógłby zrobić świetniejszą partyę!

— Świetniejszą partyę? z oburzeniem powtórzyła czarnooka wdówka — a cóż pan nazywasz świetniejszą partyą? Zapewne posag. O tacy wy wszyscy! Mówicie o sercu, o uczuciach aż do znudzenia, a czasami niebacznie wymknie się słówko, które zdradza to, co wewnątrz duszy się ukrywa!

— Czy panu Romanowi tem ubliżyłem?

— Tym razem — z uśmiechem mówiła dalej zachwycająca wdówka — tym razem nie ubliżyłeś mu pan wcale! Patrz pan, z jaką wyszukaną gracyą zbliża się do panny... Zenobji!

— Do panny Zenobji?... Czyż panna Zenobija jest rzeczywiście tak świetną partyą?

— Milion! Szaraczkowy jegomość z Podlasia z wąsem podstrzyżonym, który tam w drugim pokoju gra w cwika, oprócz czystej wioski chowa dla jedynaczki dawnym zwyczajem obrączkowe dukaty w osmolonych garnkach!

Pan Tyburcy przetarł lornetkę.

— Czyż to być może?... Panna rzeczywiście ładna, warta milijona, a milijon wart panny!

— I konkurenta z drugim milijonem!

Nastąpiła pauza. Tak wspaniałe słowa wymagały spoczynku i skupienia ducha.

— Ale czy to tylko prawda? zauważył po chwili zdruzgotany milijonem pan Tyburcy.

— Pani marszałkowa, która w zażyłych stosunkach żyje z panią Piotrową, opowiadała mi pod sekretem o różnych rzeczach, które najpewniejszym są dowodem prawdy tego co powiedziałam. Tylko panu o tem wspominam. Marszałkowa uważa rozszerzenie podobnych wiadomości za niemoralne, gdyż to szkodzi wyborowi panny. Amatorowie milijona zlecą się jak kruki, a panna nie umie potem rozróżnić kruka od gołębia.

Pan Tyburcy pogrążył się w admiracyi dwóch, zbliżających się do siebie milijonów.

Prawo to, czysto fizyczne, według którego woda łączy się z wodą, a ogień z ogniem, nie wszystkim się podobało. Nie podobało się pannie Petrynie, a więcej jeszcze matce.

Pani Aurelia przysiadła się do pani marszałkowej, która z rozkoszą patrzała przez złotą lornetkę na rozmawiającą młodą parę.

— Pani żyjesz dobrze z panią Piotrową — ozwała się do staruszki — a ponieważ ja nie mam synów na ożenieniu, nie posądzisz mnie pani o żaden osobisty interes, jeżeli zapytam czy to prawda, co mówią o tak znacznym posagu panny Zenobji. Obawiam się, że pani Piotrowa w poufnych zwierzeniach się swoich trochę egzażeruje!

Zacna staruszka złożyła złotą lornetkę i uśmiechnęła się dobrotliwie.

— Nie powiedziałabym komu innemu—odrzekła, bo taka opinija szkodzi pannie. Jeżeli panna ma znaczny posag, to zaraz pełza do niej, jak do padliny cuchnącej obrzydliwe robactwo, ustrojone w pożyczone skrzydła motyle. Trudny wtedy dla panny wybór, bo łatwo oszukać się może.

— Więc państwo Piotrowie rzeczywiście są tak bogaci?

— Więcej niżeli spodziewać się można. Wieś o stu włókach i kapitały lokowane na pięciu hypotekach!

— Czyż to być może?

— Przed nikim tego nie mówię — ale pani mogę zaufać, że z tem na jarmark karnawałowy nie pójdziesz. Widziałam skrypta na własne oczy.

— Na czemże mógł tak wielki majątek zrobić? Czy handlował butami chłopskiemi?

— Ani łokciem, ani miarką — ale sposobem bardzo przyzwoitym. Pszeniczka, olejne nasiona, gorzelnie, wypas wołów — a do tego wszystkiego Pan Bóg dał szczęście i dobre ceny!

— Pan Bóg dał dobre ceny... to grunt! Pamiętam... podczas wojny krymskiej, nieboszczyk mój mąż wziął za swoją pszenicę sto tysięcy rubli!

— A tak—tak! Pamiętam te ceny... zdaje mi się, że było to w roku, gdy między ludem panował tyfus głodowy.... Śliczne były ceny! Pan Bóg wtedy dopomógł nie jednemu, który już cienko śpiewał.

— Była to zawsze pomoc Pana Boga, ale dla nas nie tak bardzo potrzebna. Mieliśmy w stertach trzyletnie zbiory.

Rozmowa o łasce Pana Boga, który przy tyfusie głodowym tak piękne ceny zesłał rolnikom i o milijonowym posagu panny Zenobji przeciągnęła się jeszcze czas niejaki. Poczciwa pani Marszałkowa wygadała się ze wszystkiem przed panią Aurelią, z tem wyraźnem zastrzeżeniem, że przed nikim nigdyby tego nie wypowiedziała. Pani Aurelia powzięła zaś z tej rozmowy to tajemne przeświadczenie, że milijonowy posag panny Zenobji na seryo zagraża utajonym jej marzeniom macierzyńskim, które wiązały się do Petryny i pana Rafała.

Niebezpieczeństwo to trzeba było wcześnie zażegnać i dla Petryny zatrzymać za jaką bądź cenę domniemywanego dotąd konkurenta, jakim był pan Rafał. Wprawdzie jedno, szczere słowo pana Piotra mogłoby rozwiać to urojone niebezpieczeństwo, ale apostoł prawdy i szczerości w kwestyi majątkowej grał właśnie w cwika w tej chwili, a ta gra jego fatalna stała się powodem bardzo smutnych, a nawet wcale dramatycznych zawikłań.

Gdy się w salonie takie materyały do przyszłych wydarzeń swobodnie grupowały, stał młody, niepokaźny na pozór człowiek pomiędzy piecem a bronzową klamką drzwi wchodowych i spokojnem na pozór okiem patrzał przed siebie. Mógł liczyć lat dwadzieścia kilka. Twarz miał piękną, więcej uczuciową niżeli rozstropną. W niebieskich oczach palił się łagodny promień, który jednak co chwila mienił się w najpiękniejsze kolory tęczy, podobne zupełnie do tych, jakiemi świeciły brylantowe kolczyki... panny Zenobji!

Młody człowiek bronił mężnie raz zajętego stanowiska przy piecu, chociaż fala tańczących kilka razy porywała go z sobą w kierunku do fotelu, na którym siedziała panna Zenobija. Z odwagą jednak godną lepszej sprawy, walczył młody człowiek z falą walca, i chociaż trochę poturbowany, wracał jednak z tryumfem pod swój piec ulubiony.

— Cóż Michale tak zawzięcie pod piecem stoisz? zapytał go tancerz niestrudzony, który wziął sobie za zadanie tańczyć koleją z każdą panną w tej sekretnej intencyi, że między niemi nie pominie przez nieuwagę tej, dla której może kiedyś jego serce uderzyć — dla czegóż od pieca nie ruszysz się dalej? — śmiało!

Michał uśmiechnął się smutno i odrzekł:

— Co tam po mnie! Gdzie tam mnie zbliżać się do takich panien. Ja biedny wyrobnik, a tam siedzą same księżniczki! Każda z nich chciałaby mieć dwór własny i każdej zdaje się, że tak będzie! Spojrzyj na te stroje, na te oczy pojące się tak rozkosznie zbytkiem — zdaje się, że wszystkie są w swoim żywiole — że bal to u nich życie codzienne.

Czesław otarł pot z czoła, spojrzał z litością na dziwacznego towarzysza i rzekł do niego:

— Lata wcale cię nie zmieniły. W szkole byłeś najskromniejszym z wszystkich, a zato w naukach pierwszym. Salon jednak to nie szkoła. Tu klasyfikują inaczej. Czy co umiesz czy nic, to jeszcze ci nie przeszkadza do karyery w życiu. Chodzi tylko o to, aby to co umiesz, sprzedać po najwyższej cenie a nie okazywać tego, czego nie wiesz. Przedewszystkiem potrzeba śmiałości. Kto śmiały, to wnoszą, że ma słuszny powód do tej śmiałości, a z pod pieca nikt cię nie weźmie!

— Nie mam do tego pretensyi a udawać nie chcę!

— Jesteś niepoprawny!... Prócz tego mogę ci dowieść że w tej chwili udajesz!

— Ja... udaję? powtórzył pan Michał i poczerwieniał na twarzy jakby towarzysz schwycił go na gorącym uczynku — ja mam udawać? Co też ty mówisz?...

— Tak jest — udajesz! powtórzył z uśmiechem Czesław, bo stoisz pod piecem jak spokojny spektator, a tymczasem... bije ci w piersiach serce jak młotem!

Przybladł teraz podpiecowy marzyciel.

— Serce mi bije? powtórzył z wymuszonym uśmiechem—na cóżby się tutaj przydało bicie mego serca? Przecież tak szalony nie jestem!

— Czyś szalony czy nie szalony — ale przyznaj się Michasiu, że ci bardzo coś miękko na sercu!... szkoda, że nie jesteś poetą lirycznym! Napisałbyś dzisiaj w nocy piękną elegię!

(d. c. n.)

LIST SIÓDMY

z Ameryki północnéj

W MINNESOCIE

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Szkot, przyszły sąsiad mój, z trzema synami obrabia 160 morgów ornych i ma ze 30 sztuk bydła. Żona i córki szyją, zbierają mleko i t. p. lecz nawet krów nie doją, bo żadna kobieta amerykańska niespełnia usług po za obrębem izby. Żony i córki niemców popędzają woły, wiążą i doją.

Dla tego po części niemcy i nasi ludzie więcej zarabiają z orania i siania jak jankesy. Ci jednak więcej robią fortuny, gdy się im wiedzie, bo sprytniejsi w handlu i śmielsi w zajmowaniu własnej roli. Rodowity amerykanin wysuwa się śmiało na zachód, zabiera kawał puszczy, przez 5 lat żyje kukurydzianemi plackami, a po 5 latach albo odsprzedaje farmę

niemcowi za drogie pieniądze, albo ją oddzierżawi za $1/2$ plonu by o 20 mil. geogr. dalej na zachód przez podobne przejść trudy i niedostatki. Gdzie ja się wynoszę przed wiosną, tylko tacy tu nazwani *pionierowie* mieszkają, a niemca nie znajdziesz na lekarstwo. Dalej jeszcze spotkasz tu i owdzie log-house (dom z kłod) trappera (myśliwego) a dalej jeszcze pustynie Dakoty i koczowisko Indyan.

Wątpię by który z mych czytelników pozazdrościł mi pionierskiego żywota i bym przez lat wiele miał polskich sąsiadów.

Mnogość i wysoka cena maszyn wymagają stosunkowo wielkich wkładów. Urządzenie farmy stepowej jest więc nad siły ludzi przybywających do Ameryki bez kapitału. Ztąd to poznańscy wychodźcy cisną się do okolic leśnych, tam siekiera i tak zwana graca wystarczają na powolne niszczenie drzew i sadzenie kukurydzy. Plon choć mały lecz starczący na wyżywienie rodziny otrzymują już w pierwszym roku, podczas gdy my mieszkańcy stepu ledwie w drugim, a często dopiero w trzecim o tyle odkwasimy rolę że rodzi pszenicę. Za to w kilku latach my posiadamy stu i dwustu-morgowe folwarki uprawne jak ogrody, gdy tamci przez całe życie wygrzebują pieńki i wyczerpią rolę, zanim o tyle ją oczyszczą by żniwiarkę na niej mogli używać.

Wspomniałem że wyrozumowany płodozmian tu nieznany jeszcze. Lecz drenowanie gruntów odbywa się tu na wielką skalę pomimo ich taniości. U nas w Galicyi mówiono mi, że nie warto drenować pola, póki mórg podolskiej gleby taniej kosztuje jak rury niezbędne do osuszenia morga. W Minnesocie, gdzie nie brak roli, i jest za darmo prawie, kopią rowy i dreny, dowodząc, że mórg wydrenowany cenniejszy od trzech nieosuszonych.

Rowy służą także zamiast płotów. Brzegi ich wysadzone drzewami i jeszcze szybciej rosnącem bawełnianem drzewem, w kilku latach wstrzymuje bydło od włażenia w szkodę. Cottonwood dochodzi w 10-ciu latach do takich rozmiarów, że służy za paliwo. Kto chce sadzić sztuczne lasy na stepie, najczęściej zasiewa łatwo się przyjmujące i szybko rosnące Cottonwood.

Podziemne dreny ryją tu 4 i 5 stóp pod powierzchnią ziemi za pomocą narzędzia o radle cienkiem i długiem, zaopatrzonem w końcu w pocisk podobny do nowożytnej armatniej kuli. Wykopawszy studnię zagłębiają w niej radło, para wołów pracujących opodal na deptaku wypręża łańcuch ciągnący je, pocisk nurkuje pod ziemią i wydrąża otwór 5—6 cali średnicy. Woda tryskająca zeń wnet przepełni studnię. Takie dreny trwają długo i kosztują od 15—20 centów za 16 stóp długości. Nie wiem czy narzędzie to znane w Królestwie Polskiem i czy ziemia nasza niezbyt twarda by nim drenować kwaśne łąki.

Nawet otwartych rowów nikt tu nie kopie ręczną motyką. Pługi rozcinają ziemię, umyślnie na to urządzone konne grzebacze, wydobywają ją z rowów i sypią w wyniosłe okopy. Podobnemi na wielką skalę urządzonemi narzędziami, podwyższają tu drogi i koleje żelazne nad poziom stepu, by śnieg ich nie zawiewał podczas długich śnieżnych i burzliwych zim tutejszych.

Wspomniawszy tyle o gospodarstwie kończę opis mych osobistych przygód. Odtąd przez lat kilka, życie me będzie pasmem orania, siania i zbierania, z wyjątkiem zim długich, w których zamierzam zwiedzić sąsiednie kraje, i cokolwiek tam ujrzę ciekawego, nie zaniedbam opisać dokładnie i prawdziwie.

By jednak uzupełnić obraz stosunków amerykańskich, dodam krótki pogląd na życie polityczne i społeczne w mej teraźniejszej siedzibie. Zadanie to utrudniają mi kłopoty małego mego gospodarstwa, bo gdy giermek mój, tu nazywany pomocnikiem, u nas zaś parobkiem, dogląda bydełka i przywozi opał z lasu odległego o 2 mile polskie, ja muszę pilnować garnków i kotłów. Gdybym broń Boże przydymił zupę lub chleb przypalił, gotówby on i drugi dochodzący (syn amerykańskiego sąsiada) porzucić mnie, a doprawdy nie wiem zkądbym innych znalazł. Pilnując zupę lub własnoręcznie cerując skarpetki, nie mogę poświęcać dużo czasu na obznajmienie was z polityką amerykańską lub stanem tutejszych partyi. Przytem mam i inne kłopoty. I tak naprzykład zegar mój ścienny, kupiony w Nowym Ulmie za drogie pieniądze, stanął jak zaklęty. Pomimo iż i ja i dwóch Amerykanów i trzech czy czterech sąsiadów majstrowaliśmy z kolei by go nakłonić do ruchu, i w braku oliwy wylawszy kwaterkę nafty na kółka (bo Amerykanin powiedział że niesmarowane) tak dom zasmrodziłem, że przez większą część dnia do stajni się chronię, nie chce ów zaklęty zegar zejść z godziny na której się zaciął.

O parobkach leniwych, o koniach chromych, krowach co ani mleka ani cielęcia nia dają i t. p. potworach nie piszę, boć to nie nowina dla szlachetnie urodzonych hreczkosiejów polskich. Gdybym się uskarżał zniecierpliwiłbym ich zapewne. Wszakże to spadek szlachecki idący z dziada na wnuka, by mieć bydło chrome i ludzi niesfornych.

Czasami sam żałuję, że drobnostki każą brać rozbrat z piórem. Wyglądając przez odmrożone okno na step ten tak jednostajny a przecież tak rozmaity, licząc jeziorka, strumyki i pagórki i dalekie chaty sąsiadów o dachach ze srebrnego śniegu i budowie dziwnej bo czysto amerykańskiej, zachwyt smętny ogarnia duszę pustelnika, nie słyszącego ni mowy własnej, ni oglądającego twarz drogą przez długie miesiące i lata. I rzewnie się jakoś robi i nie jedna myśl wzniosła zjawi się i przeleci. Bo myśli jak perły cenne toczą się szybko i gdy nie schwytane na czasie przepadają na wieki w kurzawie zapomnienia.

Samotność matka myśli, ma tylko wtedy powab rzeczywisty, gdy połączona z pewną swobodą. Cóż mi po myślach, jeżeli zużytkować ich nie mogę?

Wieczorem, jeżeli burza nie dmie i obłoki nie zaciemniają nieba idę do przeciwnego okna i patrzę na zachód. Bór jedyny w okolicy ciągnie się o 2 mile ztąd jak nić czarna przecinająca białe pola śniegowe. Bór ten jest cudnej piękności, gdy oprawny w złote i purpurowe ramy wieczornej łuny słońca gdy szczyty drzew wydają niby pomarańczowe płomyki. Powietrze stepowe tak czyste i przejrzyste że bór ten daleki i chaty tulące się obok niego widzę wyraźnie.

Dym lokomotywy biegającej po za borem, przyczynia się wielce do urozmaicenia widoku, choćby już antytezą pomiędzy dzikim stepem, a najwyszukańszym wynalazkiem cywilizacyi. W dziwnym tym kraju, tak rozgałęziono siecie kolejowe, że dym ten i świst piszczałki już i dla dzikich Indyan i bawołów stracił urok nowości. Co mil 5 lub 6 natrafisz na szyny kolejowe od wschodu ku zachodowi, lub olbrzymie pługi wyrzucające w lecie ziemię do nasypów, w zimie przecinające drogę przez śnieżne zaspy.

Lecz przejdźmy do ogólnych uwag nad stosunkami naszej rzeczypospolitej.

W krajach podobnie jak Ameryka rządzonych, równowaga partyi jest prawie koniecznym warunkiem porządku. Ludzie stojący u steru, wiedząc z góry że za lada zboczeniem z drogi honoru i patryotyzmu o tyle zrażą choćby małą część swych uczciwych stronników, że ci przerzucą się z pewnością do przeciwnego obozu, daleko skrzętniej ubiegają się o dobro ogółu. Owe sławne wyrzeczenie młodszego Pitta: „Gdyby nie istniała opozycya kupiłbym ją sobie“, opiera się na prawdzie, z tem dodatkiem, że opozycya powinna być silna i dobrze uorganizowana by w potrzebie mogła objąć ster niezręcznie kierowany przez obecnych władzców Ameryki.

Taka opozycya nazywająca się partyą demokratyczną, lecz w istocie składająca się z najkonserwatywniejszej części narodu, istnieje i u nas i o ile zdoła łagodzi despotyzm republikańskiego stronnictwa, reprezentowanego przez prezydenta i większość kongresu. Plama sprzyjania południowcom w czasie bratobójczej wojny cięży jednak na demokratach do tego stopnia, że nigdy nie znajdą poparcia w masie narodu. Każdy uczciwy rolnik i mieszczanin amerykański, przypomina sobie z goryczą, że przez długie lata, gdy demokraci posiadali większość w izbach i prezydenturę, używali swej władzy by zaopatrzyć południowców w zasoby do skutecznej walki secesyjnej. Dodajmy że demokratyczne stronnictwo uparcie się sprzeciwiało zniesieniu niewoli, a zgadniemy dla czego lud amerykański znosi raczej jarzmo republikanów zepsutych powodzeniem, jak wesprze ich przeciwników.

Republikanie, pewni przez długie lata że nikt im władzy nie wydrze, myśląc że laury przeszłości, pokryją grzechy teraźniejszości, słowem nie lękając się hamulca silnej opozycyi, nadużywali swego stanowiska najhaniebniej. Zepsucie członków kongresu posunęło się do frymarczenia głosami, ludzie ubiegali się o najzaszczytniejsze posady by z nich zbijać majątki, prostota niezbędna w rzeczypospolitej znikła oddawna ze sfer rządowych. Trudnoby było znaleść pomiędzy tutejszemi mężami stanu drugiego Kuriusza Dentatusa lub Waszyngtona.

Bezczelność deputowanych doszła do takiego stopnia, iż w zeszłym roku, zawotowali sobie samym podwojenie dyet zagwarantowanych prezydentowi i posłom przez konstytucyę Stanów Zjednoczonych, nie tylko na przyszłe lata, lecz nawet za parę lat wstecz. Ta ostatnia podłość rozbudziła uśpioną część narodu bardziej, jak wszystkie inne, ważniejsze wykroczenia republikanów. Panowie posłowie spostrzegłszy się po niewczasie dla jak błahej drobnostki narażają istnienie całej partyi na zgubę, cofnęli prawo znienawidzone, lecz kto wie czy nie zbyt późno.

Naród amerykański był przed wojną jedną wielką „średnią warstwą“ (tiers état). Z wyjątkiem kilku miast wielkich i kilku stanów wschodnich, możnaby śmiało wyrzec, że ani proletaryatu ani arystokracyi tu nie znają, i że $5/6$ ludności posiadało własność w domach, ziemi lub towarach ubezpieczającą od nędzy.

Jak w każdem społeczeństwie podobnem, plutokracya zastępowała miejsce arystokracyi rodu i ziemi, lecz żyłka spekulacyjna tak tu rozwinięta, że nawet nie miano stałej dziedzicznej plutokracyi. Najbogatsi ludzie tutejsi, dorobili się majątków własną pracą, wielu z nich bezustannie narażało swe mienie na nowe spekulacye i straciwszy je wracało w poczet pracującej średniej klassy. Tak się miała rzecz w $3/4$ Stanów Zjednoczonych nie niewolniczych, bo tylko Nowy York, Boston i stany okoliczne mogłyby się chlubić rodzinami bogatemi od pradziadów.

One tylko i kilka fabrycznych półmilijonowych miast zachodnich, posiadały proletaryat. W stanach przeważnie rolniczych i górniczych, nie istniała kasta pracująca tylko dla drugich. W zachodnich stanach stosunki podobne do dziś istnieją.

Parobek mój jest albo synem sąsiada żyjącego na równie sporym kawałku roli jak ja sam, lub właścicielem drobnej farmy pracującym by uzyskać trochę pieniędzy na zakupno bydła. Wiązannicy pomagają mi podczas żniw, najczęściej rzemieślnicy miejscy co porzucili warsztaty na kilka tygodni, by na farmach

zarabiać po 3 dolary dziennie. Nie jeden rolnik umiejący rzemiosło, rzuca swą własność w jesieni i do wiosny pracuje w mieście, gdzie zarobek zimowy lepszy.

Tylko nowo przybyłych robotników z Europy, jeżeli nie przywieźli kapitaliku możnaby tu śmiało nazwać proletaryatem. Oszczędniejsi wnet jednak dorabiają się przynajmniej własnej chaty.

Duch prawodawstwa tutejszego, zgodny dawniej z charakterem ludowym, zachęcał do utrzymania tego stanu *powszechnej mierności.* Prawa przeszkadzające by wielcy kapitaliści nie zagarnęli na własność ziemi, broniące domostwa i sprzętów dłużników od wierzycieli, zachęcające wychodźców z całego świata do osiadania się w pustkowiach, hamowały o ile prawa ludzkie zdołają, zbytniego zbogacenia się bogactwa z jednej, a nędzy z drugiej strony.

To dążenie ku ogólnej mierności wygasające po części, lecz nie wygasłe zupełnie, jest prawdziwą przyczyną ogólnej niechęci do podwyższenia płacy prezydenta i wysokich urzędników. Większość narodu zachowuje w pamięci, że honor prezydenta takiej jak nasza rzeczypospolitej i mierna mieszczańska zapłata, wystarczały dawniej a więc powinny i na przyszłość wystarczać.

(*d. c. n.*)

Korespondencya zagraniczna z Berlina.

(Dokończenie).

W całej literaturze niemieckiej poświęconej sztukom pięknym, nie ma książki mogącej wytrzymać porównanie z „*Mozajką*".

Najznakomitszem ze wszystkich studyów jest traktujące o kościele Ś-tej Zofji w Konstantynopolu, oraz studya o sztycharzu Wenzel Hollar.

Kinkel urodził się w roku 1815. W początkach swego zawodu odznaczył się jako znakomity teolog i mówca; jednak w r. 1848 porzucił teologiję i z całym zapałem rzucił się w wir ówczesnego ruchu demokratyczno-socyalistowskiego i wkrótce stał się jednym z jego przywódzców. Aresztowany i skazany na dożywotnie więzienie w słynnej twierdzy Spandau, zdołał uciec z niej i schronił się do Anglji. W owym czasie, ucieczka ta i towarzyszące jej romantyczne okoliczności, zajmowały całe Niemcy, wszędzie o nich mówiono i pisano.

Jeden z uczni Kinkel'a, który sam cudem tylko zdołał uniknąć śmierci, nie wahał się powrócić i przejść całe Niemcy, narażając się na najgroźniejsze niebezpieczeństwa — a to aby próbować ocalić dawnego swego mistrza. Zwrócił uwagę więźnia śpiewając pod oknami więzienia pieśń ułożoną przez panią Kinkel, i w ten sposób potrafili porozumieć się z sobą. Spandau cieszy się sławą iż jest fortecą z której uciec niepodobna; Schurz i Joanna Kinkel dowiedli raz jeszcze: że serce często potrafi wyjść zwycięzko, tam nawet gdzie rozum podołać nie może. Dzięki ich połączonym usiłowaniom, Kinkel potrafił ujść z fortecy.

Do najcelniejszych utworów Gotfryda Kinkel zaliczają: *Łucznik Otton* z dziejów nad-reńskich; piękny zbiór poezyj lirycznych (1843 r.), powieści oraz dzieje malarstwa, snycerstwa i architektury u ludów chrześcijańskich.

Sławny romansopisarz niemiecki, Karol Gutzkow, autor *Rycerzy ducha* i *Czarodzieja z Rzymu*, wydał nowe jedno-tomowe dzieło, które zdaje się większem jeszcze cieszyć się będzie powodzeniem, p. t. *Rzut oka w przeszłość moją.* Już sam tytuł treść objawia. Najwięcej zajmującą i najlepiej artystycznie odrobioną częścią tej monografji, są ustępy o młodości autora, jakoteż opisy obyczai berlińskich w pierwszych dziesiątkach tego wieku. Wkrótce idylla ustępuje epopei. Po latach spokojnego dzieciństwa, potem trudniejszego już młodzieńczego wieku, nadchodzą walki i zawody dojrzałego człowieka, po poezyi proza. Mało który z współczesnych pisarzy, mógłby postawić swoje pisma, obok utworów autora *Rycerzy ducha.*

Karol Gutzkow zawód swój literacki rozpoczął od dziennikarstwa, i ten rodzaj piśmiennictwa z dnia na dzień bardzo się nadaje do jego umysłu czynnego i że tak powiem przepełnionego werwą. Do dziś dnia jeszcze wszystkie dzienniki polityczne współubiegają się o jego artykuły. Będąc jeszcze studentem, zaczął wydawać dziennik literacki, który drukował czcionkami rzymskiemi „aby ułatwić czytanie go Francuzom i Anglikom" jednak mimo to dziennik upadł wprędce, mając zaledwie około siedmdziesięciu abonentów.

Mając lat około dwudziestu, przybył do Frankfurtu i tam zawiązał bliższe stosunki z wielu ówczesnemi znakomitościami.

Zamiłowanie w starożytnej literaturze niemieckiej, jakie od pewnego czasu wyraźnie objawia się w publiczności, widocznie oddziaływa na sztukę, nowe drogi otwierając malarzom. Malarze głównie czerpią pomysła z bajek braci Grim. Neurenther, Richter, Schwind i Steinte, najświetniej odznaczyli się w tym rodzaju, nastręczającym tak przestronne pole fantazyi artystów. Illustracye jakiemi przyozdobili stare teksty nie mało przyczyniły się do rozpowszechnienia we wszystkich klasach ludności tych naiwnych utworów, nacechowanych tak żywem piętnem oryginalności.

Professor Ille przedsiewziął cały cykl illustracyj do wszystkich bajek i powieści Grimm'ów. Ponieważ osoby występujące w baśniach nie należą do jakiejś ściśle określonej epoki lub narodowości, zatem Ille korzystał z tego aby o ile można urozmaicać swe rysunki pod względem kostiumów oraz szczegółów architektonicznych. I tak baśń o *Eglantynie* dzieje się w jakimś średniowiecznym pałacu, a *Króla żab* otaczają nader zabawne dekoracye w stylu rococo.

Najwięcej rozpowszechnioną formą sztuki w Niemczech, jest illustrowanie i drzeworytnictwo, i pod tym względem artyści ich dosięgli wysokiego doskonałości stopnia. Przechowali oni wyborne tradycyę Alberta Dürer'a, który jak wiadomo był doskonałym i nader płodnym illustratorem. Obecnie pojawia się względnie nowy rodzaj, w którym dotąd Niemcy pierwszorzędne zajmują stanowisko; mówimy o chromolitografji, w której do takiej doszli doskonałości, że trzeba nader wprawnego oka aby niektóre odbicia odróżnić od obrazów olejnych.

Henryk Laube, jeden z weteranów literatury niemieckiej, który w ostatnich czasach objął dyrekcyę *Stadttheater*, wydał dzieła, których pierwszy tom, pod postacią pamiętników, obejmuje znaczną część dziejów XIX-go wieku, od 1810 do 1849 r. Jak wiadomo, Laube był jednym z założycieli *Młodych Niemiec,* których cel i dążności rozwinął w swoim romansie p. n. *Młoda Europa.* Z niewysłowionem zajęciem czyta się dzieje tych lat tak nam jeszcze bliskich, nakreślone przez naocznego świadka, który w nich żył i umie na nowo powołać je do życia.

Na dzień 22 marca, z okoliczności rocznicy śmierci Goethe'go, teatr wejmarski urządził przedstawienie „dwóch części" Fausta. Pan Devrient, reżyser teatru obmyślił wystawienie na scenie w sposób zupełnie odmienny. Niejednokrotnie już starano się wykazać, że sztuka ta, tak mało podobna do dramatów tegoczesnych, ułożona była w formie średniowiecznego misterium. Charakter ten przebija głównie w prologu, w dyalogu dyrektora teatru z poetą i z komikiem; zgodziwszy się na tę analogię, łatwo było ułożyć wystawienie dramatu, urządzając je na podobieństwo starodawnych misteryj. Wiadomo że do takich przedstawień, dzielono scenę na trzy piętra. Po dziś dzień przedstawienia misteriów w Oberammergan nie inaczej się odbywają, tylko że przedziały sceny idą jeden za drugim, zamiast jeden nad drugim. Zdaje się że sam Goethe wskazał taki układ, w słowach które zwraca do dyrektora, w końcu wyż wspomnianego prologu:

„W tym ciasnym domku z desek, przebiegnij cały okręg kreacyi i w swoim szybkim i obliczonym biegu, przejdź z nieba na ziemię, z ziemi do piekła"

Niebo, ziemia, piekło, są to rzeczywiście trzy koła w których rozwija się akcya dawnych misteryj i tego też podziału postanowił się trzymać reżyser teatru wejmarskiego.

Nie mogę pominąć milczeniem nader zajmującego przedstawienia jakie miało miejsce w *Stadttheater* w Wiedniu. W ciągu jednego wieczora widzowie obecni byli na przedstawieniu czterech sztuk komicznych, oznaczających przeciąg czterech wieków. Za podniesieniem kortyny odegrano farsę Hans'a Sachs; następnie sztukę p. n. *Cnotliwa piekarka i trzech mniemanych jej kochanków*; po jej ukończeniu przedstawiono komedyę *Haus Wurst i jego przyjaciel w kłopocie* a na zakończenie znaną sztuczkę *Zaproszę majora.* Tak więc widzowie mieli przed oczami próbki sztuk komicznych począwszy od 1531 roku aż do naszych czasów, i mogli sądzić i wyrokować „de auditu et de visu" o postępie sztuki teatralnej, lub jeźli go nie dostrzegą, przynajmniej o zmianie zaszłej w guście publiczności. Tak wystawa jak scenarium było jak najwierniej oddane pod względem historycznym. Sztuki te odegrane były na deskach ustawionych na środku placu targowego, przed gromadą aktorów, przedstawiających publiczność; role kobiece grane były przez mężczyzn, a miejsce dekoracyj zgodnie z owym czasem, zastępowały tabliczki z napisami: „ulica" „targ" „kuźnia", odnośnie do potrzeb sztuki.

W Monachium przedstawiono z powodzeniem poważny dramat p. t. *Pizanczycy.* Szlachetność uczuć i wzniosłość stylu godne są tego najznakomitszego dziś w Niemczech poety dramatycznego; sztuka ta zaleca się jeszcze szczególną znajomością wywołania efektu i dosadnem wyrzeźbieniem charakterów. Cała akcya ześrodkowana jest około osoby Ugolina. Autor przedstawił go jako polityka służącego na przemian Gwelfom i Gibelinom, byle tym sposobem dojść do urzeczywistnienia swego ideału, jakim jest zjednoczenie Włoch. Jako należący do wszystkich stronnictw, Ugolin ze wszech stron wystawiony na niebezpieczeństwo, jakoż w końcu dostaje się do więzienia. Śmiertelny wróg jego, biskup Ruggieri, którego syna zabił własną ręką, osadza go, wraz z trojgiem dzieci, w wieży Głodu. Najdramatyczniejszą jest ta scena, w której szlachetna i odważna małżonka Ugolina, spotyka się z Ruggieri'm u stóp wieży, podczas gdy starszy syn więźnia oblega miasto. Wkrótce oblegający zdobyli Pizę; wyłamano drzwi więzienia; lecz już sam tylko Ugolin pozostaje przy życiu... z głodu pożarł trzech, wraz z nim uwięzionych synów. Odpycha ze wstrętem kordyał mający utrzymać go przy życiu, i umiera przekazując synowi swój zamiar wyswobodzenia ojczyzny.

Jest to pierwsza próba autora Schack'a na polu dramatu historycznego i umiał się z niej wywiązać z godnością wielkiego swego talentu. Potrafił tak uidealizować straszną i wstrętną historyę Ugolina, iż stała się możliwą w dramacie: to nie lada trudność.

Jakkolwiek w teatrach berlińskich najlepiej popła-

cają farsy i krotofile lub przekłady dramatów francuzkich, jednak niekiedy pojawi się coś oryginalnego i poważniejszego. W grudniu r. z. przedstawiono w teatrze jedno-aktową tragedyę p. n. *Mariusz w Minturnes*. Wielki rzymianin rozbrojony, znużony, na wpół umarły z głodu, dostaje się w moc mieszkańców Minturnes, u których obawa zemsty Sylli tłumi uczucie litości. Sami nie mają odwagi odebrać mu życia, ale wydają go Fannji, która nie taiła swej nienawiści dla exdyktatora, z powodu że gdy był konsulem, wydał wyrok uwłaczający jej czci niewieściej. W następstwie tego wyroku, Fannia zerwała ze światem, opuściła Rzym i wraz z zaciętą nienawiścią swoją, ukryła się w tej małej mieścinie. Teraz mając w swej mocy Mariusza, nie omieszka się zemścić...

Poeta wybornie odmalował walkę staczającą się w duszy tej kobiety, kiedy zamiast groźnego i pysznego wroga, widzi przed sobą słabego i bezbronnego starca, przygniecionego brzemieniem nieszczęścia. Po gwałtownej scenie, w której przypomina Mariuszowi fakt, za który poprzysięgła mu wieczną nienawiść, szlachetne uczucia przeważają, w sercu budzi się litość i Fannia przebacza. W tem miejscu autor pomieścił w swej tragedyi ową anegdotę o niewolniku nasłanym dla zabicia Mariusza, który zadrżawszy pod spojrzeniem wielkiego męża, wypuszcza broń z ręki. Nie pojmujemy dla czego autor Merbach scenę tę pomieścił za kulisami, choć byłaby nader efektowną na scenie. Groźne niebezpieczeństwo minęło: Mariusz podnosi broń upuszczoną przez mordercę, nie jest więc już bezbronny. W tejże chwili mieszkańcy Minturnes wpadają tłumnie do domu Fannji, ale nie w celu zamordowania Mariusza, jak ona przypuszcza, lecz dla zwiastowania jutrzenki nowego blasku, jaki ma otoczyć dzielnego zwycięzcę barbarzyńców. Posłaniec przybyły z Terracino, przyniósł wiadomość że Cinna zwrócił oręż przeciw Sylli, i że stronnicy Mariusza rozpoczęli walkę. Pokrzepiony tą wieścią, Mariusz wznosi w górę szpadę, wołając: „Do Rzymu!“ — Na tem kończy się sztuka. Charakter Fannji wybornie wyszedł z pod pióra autora, nacechowany jest zarazem wzniosłością i prostotą, jak przedstawiają nam zazwyczaj starożytne matrony. W ogóle tragedyi tej zaledwie małe usterki zarzucić można, jak np. niektóre za zbyt tegoczesne wyrażenia i pojęcia. Do takich zaliczyć można ustęp w którym Mariusz woła z uniesieniem: „Lud który nie umie czcić kobiety i szanować matki, nie zdoła nigdy zdziałać nic wielkiego!“ Ówcześni Rzymianie inne mieli pojęcia o kobiecie!

Z tegoczesnych poetów dramatycznych niemieckich Lindner może najlepiej umie wyciągać korzyści z położenia i układać efektowne sceny, to też w dziejach bohatera, nieprawego syna Karola V-go, znalazł i zużytkował obfite źródło łez i wzruszeń. Kochanka don Juana, Beata, jest to kobieta dziko energiczna, umie nawet miłość poświęcić na ołtarzu patryotyzmu. Jednak poeta przesadził do nieprawdopodobieństwa bohaterstwo tej młodej dziewczyny. Można pojąć, że przez uczucie patryotyczne wyrzeka się miłości— choć to ofiara wielka i bolesna, ale kazać jej zabijać kochanka, w którym widzi tylko wroga ojczyzny i następnie sobie śmierć zadać — to już trudne do uwierzenia nagromadzenie okropności i zgrozy. Całość dramatu odznacza się zwykłą w utworach Lindner'a głębokością uczuć, styl wykwintny, obrazowanie piękne i świetne.

Jakkolwiek mniej jak dawniej, jednak dotąd pojawia się w Niemczech znaczna liczba dzieł filozoficznych; z tych wyróżnić należy pracę pana Marty, profesora filozofji w Czerniowcach „*O początku mowy ludzkiej*“. W pierwszej części autor traktuje swój przedmiot ze stanowiska historyczno-krytycznego, to jest rozbiera zdania i poglądy sięgające odleglej starożytności. Doszedłszy do czasów tegoczesnych, widzimy że ze wszystkich badań i spostrzeżeń w tej zawikłanej materyi, nastręcza się wniosek, że początkiem wszystkich języków są pewne źródła, z których przez najrozmaitsze przejścia i zmiany, wytworzyły się obecnie istniejące dyalekta. Lecz tu koniecznie nastręcza się pytanie: zkądże wzięły się te źródła? Niektórzy utrzymują, że leży w naturze człowieka, aby w danych położeniach wydawał pewne niewyraźne dźwięki. Tak więc języki, czyli raczej ich źródła, wywodziłyby swój początek z tego przyrodzonego instynktu. Rzeczywiście faktem jest że im człowiek jest nieokrzesańszy, im więcej ulega wrodzonym popędom, tem większy czuje pociąg do oddawania przez giesta, krzyki i dźwięki, wszelkich doznawanych wrażeń. Ale nawet cofając się do tego pierwotnego objawu, nie rozwięzujemy zadania, bo nader trudno pojąć aby sam instynkt zdołał wytworzyć takie mnóstwo wyrazów jakie obejmuje każdy język, trudno wystawić sobie jakim sposobem te pierwotne źródła mogły wystarczyć na wytworzenie tak niezliczonych przekształceń jakich wymaga oddanie najróżnorodniejszych pojęć i wyobrażeń? Jakim sposobem ludzie pierwotni mogli się zgromadzić i porozumieć w tym przedmiocie?.. a już sama hipoteza takiego porozumienia kazałaby koniecznie dopuszczać istnienie jakiegoś uformowanego już języka. Podzielając mniemanie p. Marty, że człowiek pierwotny mógł tak dobrze posługiwać się giestami i ruchami rąk jak dzisiejsi głuchoniemi dla oddania swych myśli, zawsze jednak pomimo wszelkich trudów jakie tenże sobie zadaje w streszczeniu wszystkich uczonych wniosków i rezultatów tegoczesnej filologji, trudno zrozumieć tak niepojęty rozwój tych prostych niewyraźnych wdzięków i ich naśladowań, mocą którego podołały nawet zawikłaniom składni. Właściwie mówiąc, Marty nie wymyślił nic nowego, a główną jego zasługą jest światły pogląd z jakim przedstawił i poddał surowej krytyce, pojęcia przed nim wygłoszone.

Przegląd literacki.

Serca niewieście nowelle No-sty. Warszawa 1876.

Pod tym ponętnym romansowym tytułem ładna różowa książeczka daje nam aż 12 nowelli czyli małych powiastek. Dobrą jest obszerna, kilkutomowa powieść, ale żeby czytelnik nie żałował kilku albo i kilkunastu godzin nad nią strawionych, powinna być bardzo udatną; wybierając zaś pomiędzy tak licznemi dziś u nas miernej wartości wodnistemi powieściami przerażających rozmiarów i krótkiemi powiastkami, wolimy już te ostatnie. Wprawdzie krótką a dobrą powiastkę napisać może trudniej niż sążnistą, tak jak niedbały szkic rysunkowy kredką, piórem lub ołówkiem wykonany, musi wyjść chyba z ręki genialnego artysty ażeby więcej mógł zająć widzów niż obszerne płótno miernej wartości, ale przynajmniej, w razie zawodu, takowy jest mniejszym, gdyż czytelnik mniej spodziewał się po krótkiej nowelli i zresztą mniejsza jest strata czasu na jej odczytanie, a w wiązance kilku lub kilkunastu powiastek, znajdzie się przecie przynajmniej choć para znośnych.

Taką wiązanką są i Serca Niewieście. Zgodnie z tytułem, są to wszystko powiastki czyli raczej obrazki wyłącznie erotyczne, miłośnym dziejom poświęcone. Pełni wykończenia, akcyi powieściowej lub dokładnego obrazu charakterów trudno od nich wymagać; nie mają też tych zalet, ale mają niektóre inne. Oto np. w kilku z tych powiastek przebija żywość kolorytu, szerokie niby rzuty pędzla, które, pomimo braku zawikłanej intrygi, dość zajmują czytelnika, jak np. w nowellach: „Piękna Łucya“, „Widzenie“, „Listek Geranium“, „Szafa Gdańska“. Oprócz tego obrazki No-sty celują prawdą życiową: „serca niewieście“ o których tu mowa, biją w piersi nie jakichś wymarzonych aniołów, celujących wszystkiemi przymiotami ideału, eterycznych, doskonałych, niepokalanych i świętych, lecz pod sukienką zwykłych córek Ewy, zamiłowanych w strojach i balach, poświęcających uczucie dla rachuby, wielbicieli dla modnych fatałaszek. Realizm ten autora, istotnie, zbyt jest ujemny, czasem pesymistyczny, ale wolimy go w powieści niż niebiańskie gruchania, seraficzne zachwyty i tym podobne komunały, które, Bogiem a prawdą, tak już na jedno kopyto są nieodłączne od wszystkich bohaterów, a zwłaszcza bohaterek powieści, że naprzykrzyły się nam już porządnie. Na owem tle realnem, więcej jest ruchu i życia, więcej prawdy, ze względu zwłaszcza na nasz wiek prozaiczny i praktyczny. Taki realizm nie wyłącza ideałów: owszem, taką już jest natura ducha ludzkiego, że tem więcej pragniemy ideałów, im mniej ich w około siebie napotykamy i ztąd, zdaniem naszem, nie gasi się bynajmniej tego pragnienia i nie osłabia się naszej czci dla ideału, gdy zamiast wystawienia tych ideałów, jakoby tłumnie na ziemi rojących się i wcielonych — tylko że ich szukać, znaleść i pochwycić jakoś nie umiemy — zgodniej z prawdą, malujemy przeważnie postacie stąpające po ziemi, którym do ideału daleko.

Tu i owdzie, jak np. w powiastce „Jedna Chwila“ występuje u autora, jakiś zawistny, złowrogi fatalizm: i to, jak mniemamy, zgadza się z prawdą życiową, gdzie nieraz panuje fatalizm znany tylko pod odmiennemi nazwami: trafu, błędu i t. p.

Co do zarzutów, dwa najważniejsze stawilibyśmy „Sercom Niewieścim“ najprzód że są one już zbyt krótkie: po drugie styl, choć w ogóle poprawny, bywa niekiedy nieco przesadnym i wyszukanym. Wstępny obrazek „Trzy Róże“ grzeszący najbardziej stylem afektowany, a nadto zbyt allegoryczny i mglisty, mógłby być całkiem wyrzucony. Wydanie dość staranne, papier i druk ładny (choć ten ostatni zbyt rzadki i białego papieru w książce dosyć); pomimo to zdaje się nam że cena książeczki — 1 rubel — za wysoka. Powie kto może, że rubla za 12 powieści to nie wiele, ale my weźmiemy inny punkt wyjścia: zawiele jest rubla za książeczkę ze 128 stronnic, z których tylko 116 jest zadrukowanych, nie licząc szerokich odstępów i marginesów.

O ubiorach.

Dotychczasowa niestałość pogody, dnie chłodne i pochmurne pozwalały obywać się zimowemi kostiumami i kapeluszami, teraz gdy mamy powitać maj z jego uroczą zielenią, gdy ciepło już się prawie ustaliło, gruba syberyna i kastorowe kapelusze stają się niemożebne do noszenia i przedewszystkiem domagają się zmiany. Magazyny już zaopatrzone są w świeże zapasy najmodniejszych nowości, między któremi można wybierać, a nawet znaleść się w kłopocie, taka w nich rozmaitość, wykwintność i fantazya w wykończeniu. Kapelusze ciągle utrzymują się noszone z czoła, przy spacerowych ubraniach używane są okrągłe na czoło. Do ubrania służą pióra, kwiaty, koronki crême przy kolorowej materyi, wstążki kanwowe,

siatkowe, jedwabne w kratkę lub w pasy i t. p. Dżety wyszły już z mody a ich miejsce zajęły klamry i agrafki złocone, srebrne, lub metalowe zdobne kamieniami lub bez takowych. Do oszycia brzegów i przybrania cienkich kapeluszy bastowych i słomkowych czarnych i białych służy tak zwana *bande paillasseau*; jest to pletnia w zęby pleciona ze słomki którą na kokardy trzeba zszywać z sobą. Kolor crême tak niezmiernem cieszący się powodzeniem, ciągle jeszcze utrzymuje się w modzie, dla ożywienia mieszają go z innemi więcej żywemi barwami.

Główki u kapeluszy są mniejsze i nie szerokie, gdyż paryżanki porzuciły obecnie koki obciążające głowę i przeszkadzające zręcznemu włożeniu kapelusza; głowa zdobna lekkim warkoczem lub puklami a cała koafiura spuszcza się długo na ramiona w lokach lub warkoczach, przyczem kapelusze trzymają się doskonale.

Zupełną nowość stanowią kapelusze panama, podobne do męzkich, koloru niewarowego, do noszenia z czoła lub na czoło, tudzież kapotki z materyału *japonaise*, rodzaj tkaniny przerabianej w kolorowe paski nakształt tasiemeczek. Dla mężatek kapotki mają dodane z tyłu sute pukle i końce, dla panien zakończają się kokardą.

W magazynie p. Boszowej widzieliśmy wszystkie najnowsze fasony kapeluszy letnich; gotowych modeli paryzkich sprowadzono tam przeszło czterdzieści; ponieważ już w N-rze 15 Tygodnika opisywane były kapelusze, dziś więc wzmiankujemy tylko kilka nowych fasonów:

Kapotka z materyi japonaise koloru crême w paski blado niebieskie i pąsowe przybrana była walansjenką crême i wstążką kanwową blado niebieską. Z tyłu spadało sute upięcie z wstążki niebieskiej repsowej pokrytej walansjenkami.

Drugi kapelusz bastowy crême także odpowiedni dla mężatki miał wysokie dyademowe podpięcie nad czołem, z wierzchu przybrany koronką crême, wstążką crême w szafirowe pasy skrzydełkami mieniącemi barwy ciemno zielonej. Z boku w kokardzie wielka podłużna klamra złocona.

Z droższych modeli odznaczał się czarny bastowy oszyty bande paillasseau; główkę otaczała w około niezmiernie fantazyjna girlanda z delikatnej trawy i berberysu, takież podpięcie nad czołem; do wiązania dodane końce z wstążki pąsowej.

Dla młodej osoby widzieliśmy śliczny modelik z czarnej słomki, formą ładnej czapeczki bez ronda, zdobny nad czołem wianeczkiem kłosów; z lewego boku pukle z czarnej materyi dwa zachodziły aż na główkę, na wierzchu której przypięta gałązka róż przeprowadzona na bok i zwieszająca się aż po za ramię.

Inny bardzo strojny okrągły kapelusz z białego bastu, miał rondo fantazyjnie wygięte z boku w dwa zęby, w zagłębieniu których wpięte wielkie róże biała i różowa. Szeroka wstążka błękitna tworzyła pukle z boku a z tyłu spadała w długim końcu i puklu. Dwa duże strusie pióra niebieskie i białe dopełniały przybrania.

Oprócz przybranych kapeluszy magazyn pani Boszowej zaopatrzony jest w wielki zapas fasonów bastowych panama, spacerowych i ogrodowych plecionych z grubej słomki, tudzież w bardzo gustownie przybrane kapelusiki dziecinne; pamiętano nie tylko o starszych, kilkoletnich, ale nawet o małych dzieciach.

Między rozmaitemi drobiazgami toaletowemi, świeżo sprowadzonemi z zagranicy, zasługują na wzmiankę *cravates hieroglyphes* są to kolorowe jedwabne krawatki w żywych barwach, w guście wschodnim, zdobne na końcach w desenie w guście egipskim.

Przejdziemy teraz do opisu okryć letnich, jakie przeglądaliśmy w magazynie p. Thonesowej. Możemy śmiało polecić je naszym czytelniczkom, gdyż znajdą tam najrozmaitsze fasony wykończane skromniej lub wykwintniej, zacząwszy od okryć dla młodych panienek aż do okryć dla osób poważnych. Ceny są różnorodne od 9, 10, 13, 16 aż do 100.

Dla młodych panienek widzieliśmy śliczne, lekkie i zgrabniutkie pelerynki kaszmirowe, dopełnione niezmiernie szeroką frendzlą siatkową jedwabną i zdobne kokardami z wstążki; cena bardzo przystępna wynosi 10 rs.; strojniejsze odrobione są z grosbotowego tiulu naszywanego pletniami. Inne okrycia formą kamizeleczek bez rękawów, z puszczonemi przodami dogodne do kładzenia na letnie suknie są w cenie od 13 rs.

Kaftaniki krótsze lub dłuższe odpowiednio do wieku, wcięte z tyłu, z luźnemi przodami, wykończone z kaszmiru, materyi jedwabnej, matelasse i t. p. ciągle utrzymują się w modzie i zdobią odpowiednio do ceny pletnią, pasmanteryą, frendzlą, koronką, plumażem i t. p.

Niepodobieństwem byłoby opisywać każdego modelu, wspomnimy tylko o kilku jak np. czarny jedwabny ślicznie naszyty pasmanteryą w długie zęby, oszywane suto nadmarszczoną koronką fałdującą się lekko i fantazyjnie. Inny kaftanik z materyału *damasse* t. j. przerabianego w deseń adamaszkowy; rękawy z gładkiego materyału; brzegi kaftanika i wykład na rękawach oszyty plumażem.

Kaftanik czarny kaszmirowy oszyty na około czarną pasmanteryą, otoczoną z dwóch stron nadmarszczoną koronką crême; u dołu frendzla czarna przewiązywana crême.

W zupełnie nowym rodzaju, wprowadzone dopiero tego roku są okrycia rozmaitych fasonów z tiulu grosbotowego, naszywane pletnią różnej szerokości. Dla mężatek poważniejsze okrycia mają formę mantyl przedłużoną z przodu w szalowe końce; przybranie stanowią koronki, pasmanterya, frendzla, pletnie lub plisy jedwabne. Jeden z modeli ogarnirowany był cztery razy koronką, przepinaną puklami z wstążki; ubranie to wyglądało efektownie i poważnie. Mantylki dla młodych panienek, mają szalowe końce węższe i dające lekko przewiązać się z tyłu; u innych fasonów plecy kończyły się także dwoma szalowemi końcami zebranemi w fałdy podłużne.

Pokazywała nam także p. Thonesowa dwa modele paryzkie okryć z grosbotowego tiulu formą princesse zapinaną z przodu kokardami, długością przechodzącą prawie vêtement. Na tle tiulowem naszyte były w drobniutkich odstępach pletnie różnej szerokości. Czarny model wyszyty był wąziutką pletnią zdobny frendzlą siatkową; z tyłu przypięta suta szarfa z bardzo szerokiej wstążki, wzdłuż przodu, kokardy z wąskiej wstążki.

Drugi niezmiernie efektowny model w kolorze crême, świetnie przedstawiający się na czarnej aksamitnej sukni odrobiony był w szerokie pasy haftowane pelą i przedzielane szeroką pletnią crême; rękawy półotwarte w węższe paski haftu i pletni. Brzegi okrycia zakończała bogata koronka crême. Szarfa i kokardy z wstążki repsowej; cena tego modelu wynosi 100 rs.

Oprócz powyżej wymienionych fasonów okryć spacerowych i wizytowych, do wyjścia w godzinach przedpołudniowych modne są burnusy w kratę i pasy kolorowe, np. na popielatem tle krata lub pasy blado niebieskie z pąsowym; na granatowem czarne z białem i t. p.; angorowe burnusy długie i krótkie i płaszczyki podróżne. Cena burnusów od 16—30 rs. wynosi.

Materyały na suknie letnie wyrabiają w pasy cieniowane; suknie gładkie wykończają w trzech cieniach. Kaprysy mody pozwalają gładką spódnicę przybierać kratami, a tunika lub vêtement zdobi się materyałem w pasy; nie pochwalamy jednak takiej mieszaniny, gdyż jest zbyt rażącą i łatwą do opatrzenia. Modne kolory są też same co w materyałach zimowych, dość blade i niepewne, tylko pasy mocniej się odznaczają. Materyały gipiurowe ażurowe, w desenie ciągnione lub w pasy, w kolorze crême do cieniu. Perkale naśladujące desenie haftów i koronek, gładkie i w pasy, w cenie 37 ½ kop. za łokieć; z wełnianych materyałów noszą szewioty, kaszmiry cienkie i lekkie po rs. 1 kop. 35 za łokieć; letnie beże od 45 kop; bengaliny po 75 kop. za łokieć; grisaille pół jedwabne po 90 kop.

Z gotowych kostiumów odróżniały się: kostium z materyału gładkiego i damassé. Spódnica ciemna crême miała bryt tylny złożony w kontrafałdy, podpięty fantazyjnym węzłem. Z przodu podwójny fartuch skośno podpięty z materyału adamaszkowego (damassé), koloru jasnego crême, oszyty siatkową frendzlą. Stanik miał przód oryginalnie na bok zapięty; prawa połowa przodów przedłużała się śpiczasto i ozdobiona była kieszonką.

Druga suknia popielata w pasy crême i blado niebieskie. Spódnica zdobna wolantem, układanym w płaskie fałdy, w spód których wstawiana materya czarna widoczna przy rozrzucaniu się fałdów. Vêtement formą princesse zdobne plisą jedwabną czarną i siatkową frendzlą popielatą. Przód zapięty kokardami czarnemi.

Trzeci kostium „*le printemps*“ z lekkiego materyału zbliżonego do beżu, koloru écru. Spódnica gładka zdobna bufą w pasy i gładkiem plisowaniem. Tunika fartuszkowa z szarfą z prostych brytów składanych w fałdy; stanik kirasowy zdobny materyą granatową, rękawy wązkie zakończone wykładem i klapą granatową. Frendzla écru z granatowym.

Oprócz powyżej opisanych okryć i kostiumów pokazywała nam p. Thonesowa śliczne kapelusze letnie z czoła i na czoło. Parasoliki powozowe, spacerowe i en tout cas w różnych kolorach, czarne i crême. Woalki modne z grosbotowego tiulu gładkie lub w rzucik, białe i crême.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Zofji B. w Temir-chan-szurze. List z rs. 175 odebraliśmy jednocześnie z telegramem, do którego się zupełnie zastosujemy. Sprawunki wyślemy jak będzie można najspiesznięj.

Panu F. w K. Zachęcanie dzieci, choćby dwunastoletnich do pisania powiastek dla Przyjaciela dzieci, uważamy za zupełnie niewłaściwe. Podobnie małoletni autor, czyż może napisać rzecz istotnie godną druku? Nadto w główce młodej ale wrażliwej wzbudzi się chęć ciągłej w tym kierunku pracy, będzie się więc tworzyć i pisać a nie uczyć się, będzie się jej zdawać że jest genijuszem nowo pojawiającym się i nabierze tak szkodliwego zarozumienia, słowem spaczy swoje pojęcia i wyobrażenia, a z tego nic dobrego dla całej przyszłości tak młodocianego pisarza nie wypłynie. Radzimy więc panience tak wcześnie rwącej się do pióra, powiedzieć, że praca jej, jakkolwiek nie może mieć właściwej wartości, ale zawsze dowodzi, że główka jest zdatną, że należy ją najprzód ukształcić, zrobić rozumną, aby rozumnie dla drugich mogła piórem pracować. To ją z pewnością zachęci do nauki, gdy przeciwnie, pierwsze wystąpienie w druku, oderwie od książki. W licznym zastępie tak zwanych dzisiaj literatów, potwierdzenie tych uwag aż nadto na nieszczęście spotyka się.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 14 (26) Апрѣля 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.



Tygodnik Mód

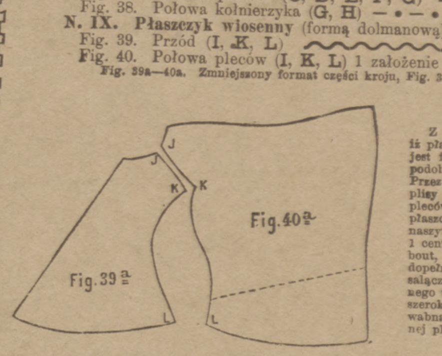
w Warszawie 1876 r.

Strona lewa.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 18 i 19.

N. VIII. Stanik zapięty na dwa rzędy guzików. Ry. 3 w Nrze 18.
Miara objętości przez połowę: 50 cent. w gorsie, 33 w pasie.
Fig. 35. Przód (A, B, E, F, H, ✱)
Fig. 36. Boczek (A, B, C, D)
Fig. 37. Połowa pleców (C, D, E, F, G)
Fig. 38. Połowa kołnierzyka (G, H)

N. IX. Płaszczyk wiosenny (formą dolmanową). Ry. 23—24 w Nrze 19.
Fig. 39. Przód (I, K, L)
Fig. 40. Połowa pleców (I, K, L) 1 założenie
Fig. 39a—40a. Zmniejszony format części kroju, Fig. 39—40.



Z dołączonego kroju widzimy, iż płaszczyk ten z przodu zbliżony jest formą do dolmana a z tyłu podobny do szerokiej peleryny. Przez przyszycie 4 cent. szerokiej plisy można odznaczyć wcięcie pleców. Rycina 24 przedstawia płaszczyk z czarnego kaszmiru naszyty w prostych linjach pletnią 1 cent. szeroką. Oszycie z marabout, frendzla i kokardy repsowe dopełniają przybrania. Rycina 28 załącza model z czarnego wełnianego tiulu, naszyty pletnią 1 cent. szeroką. Frendzla czarna jedwabna z kwaścikami z karbowanej plecionki.

N. X. Długi kaftanik dla panienki lat 8—11. Ry. 6—7 w Nrze 19.
Fig. 41. Przód (M, N, Q, R, S, Y, :)
Fig. 42. Boczek (M, N, O, P)
Fig. 43. Połowa pleców (O, P, Q, R, X, •, +, ✻)
Fig. 44. Rękaw (S, T, U, V, W)
Fig. 45. Połowa mankieta (W)
Fig. 46. Połowa kieszonki (:)
Fig. 47. Patka od karoczka (•, +)
Fig. 48. Połowa kołnierza (X, Y)

N. XI. Kaftanik z wykładami dla panienki lat 5–7. Ry. 13–14 w Nrze 19.
Fig. 49. Przód (a, b, e, f, g, m, :, ✻)
Fig. 50. Boczek z klapką (a, b, c, d, +)
Fig. 51. Połowa pleców (c, d, e, f, l, +)
Fig. 52. Rękaw (g, h, i, k)
Fig. 53. Wykład do rękawa (h)
Fig. 54. Kieszonka z bocznemi wykładami (:, ✻)
Fig. 55. Połowa kołnierzyka (l, m)

N. XII. Paletot „Ulster" dla chłopca lat 4—7. Ry. 33 w Nrze 18 i ry. 2 w Nrze 19.
Fig. 56. Przód (n, o, p, q, r, ✻)
Fig. 57. Połowa pleców (n, o, p, q, • 1 — ✕ 1)
Fig. 58. Rękaw (r, s)
Fig. 59. Połowa kołnierzyka (✻)

N. XIII. Turniura. Ry. 25—26 w Nrze 19.
Fig. 60. Połowa turniury

N. XIV. Peleryna i kołnierzyk do ry. 2 w Nrze 18 i 3 w Nrze 19.
Fig. 61. Połowa peleryny (✻, :)
Fig. 62. Połowa kołnierzyka (✻, :)

N. XV. Płaszczyk „Ulster" od kurzu lub deszczu. Ry. 8 i 9 w Nrze 19.
Fig. 63. Przód (t, u, v, w, •, ✻, :)
Fig. 64. Połowa pleców (t, u, v, • 2 i ✕ 2 do • 4 i ✕ 4)
Fig. 65. Rękaw (w, x, y, z, +)
Fig. 66. Połowa wykładu (x, +)
Fig. 67. Połowa kołnierzyka (•)
Fig. 68. Kieszonka z wykładem (:, ✻)
Fig. 63a—68a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 63—68.

N. XVI. Tunika do sukni ry. 37 i 38 w Nrze 19.
Fig. 69. Przód (złożony na połowę (1, 2, 3, ✻, :) 2 założenia formy
Fig. 69a. Zmniejszony format połowy przodu, Fig. 69.
Fig. 70. Wskazanie kroju tylnego bryta.
Fig. 71. Zmniejszony format rozłożonej tuniki.

N. XVII. Tunika „Bedouine". Ry. 36 w Nrze 19.
Fig. 72. Wskazanie kroju połowy przodu.
Fig. 73. Wskazanie kroju tylnego bryta.
Fig. 72a—73a. Zmniejszony format tuniki, Fig. 72—73

N. XVIII. Vêtement dla panienki. Ry. 31—32 w Nrze 18.
Fig. 74. Przedstawienie vêtement podług naturalnej wielkości kroju Nr. XIII, Fig. 42—44, na arkuszu do Nr. 14 i 15.



Fig. 74.

Z dołączonego tu zmniejszonego formatu kroju widzimy jak łatwo podług dobrze leżącego stanika przykroić vêtement powiększając długość i szerokość.

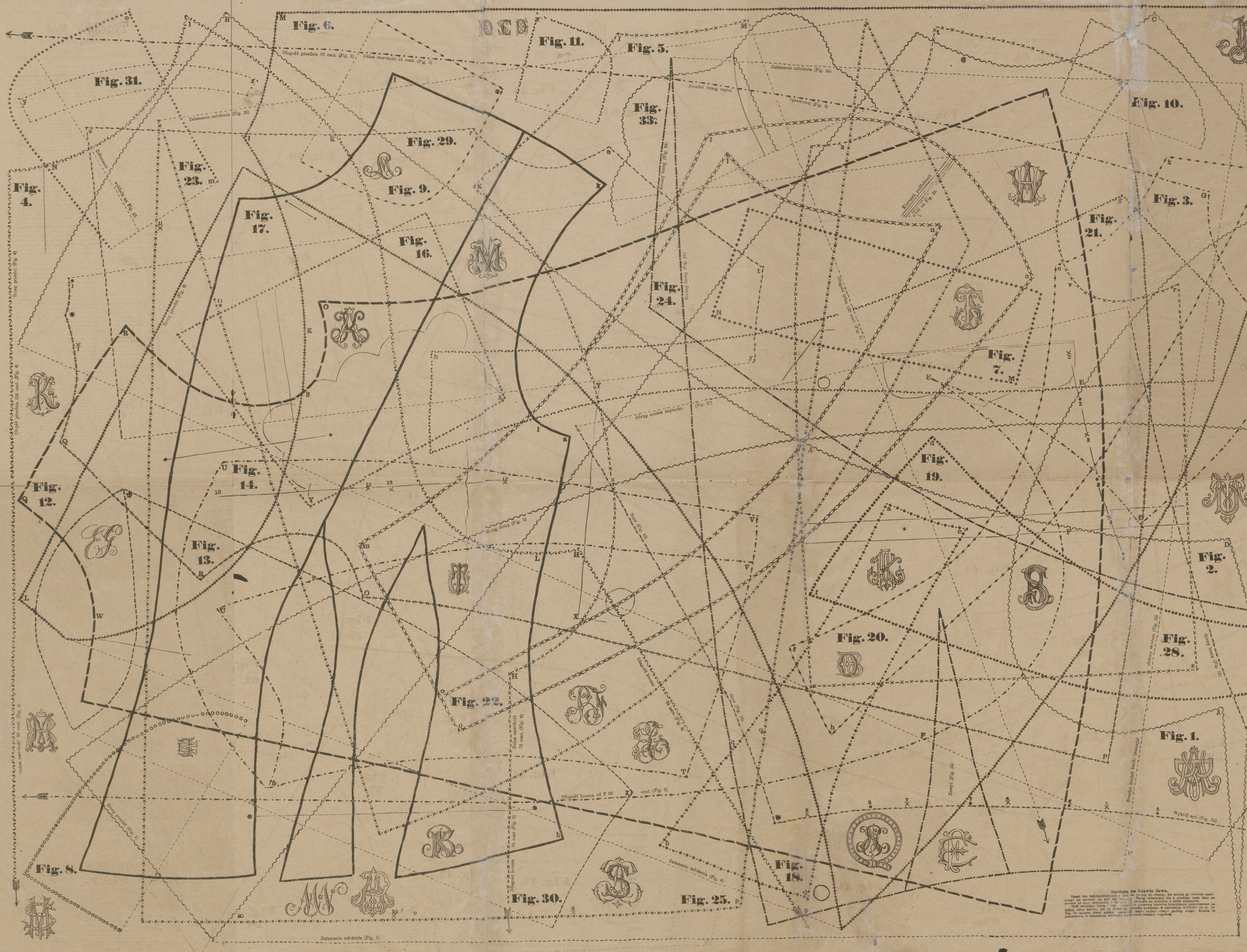
Ry. 31. Suknia z vêtement zapinanem z przodu. Vêtement u dołu ścięte prawie prosto, z tyłu rozchodzące się do pasa i złączone dwoma kokardami, oszyte jest plisowaniem. Na sukni dane naprzemian falbanki gładkie i plisowane. Przy pasku kieszonka.

Ry. 32. Suknia z vêtement sznurowanem z tyłu. Z przodu trochę krótsze, do tyłu trochę szpiczasto ścięte vêtement jest sznurowane lub ma tylko naśladowane sznurowanie, które powtarza się także na rękawach. Do vêtement z kaszmiru spódniczka odszyta jest z aksamitu w takim samym kolorze przybrana bufami.



Desenie do ry. 16—17, 21—22 w Nrze 18 i ry. 29 w Nrze 19.
Fig. 75. Różek do kołnierzyka, ry. 16—17 w Nrze 18.
Fig. 76. Arabeska narożna do szkatułki, ry. 21 w Nrze 18. Malowanie na drzewie.

Wachlarz do spacerowego ubrania, ry. 29 w Nrze 18.
Fig. 77. Haftowana gałązka z tasiemeczką medaljonową.
Rycina 29 przedstawia rozłożony wachlarz który na skrzydełkach z politurowanego drzewa wyrobionych ażurowo, ma u góry naklejoną materję jedwabną koloru crême. Przyozdobienie składa gałązka odrobiona podług fig. 77 i monogram.



Serweta na kanwie Jawa.

Deseń ten najodpowiedniejszy jest na obrusy do ołtarzy, ale można go również zastosować do serwety na stół lub komodę. Brzeg składający się z prostego pasa liczy na modelu 28 cent. szerokości, z których [illegible] odchodzi na frendzlę, z nitek siepanych.

Haft zdobiący brzeg i rogi odrabia się ponsową bawełną krzyżykami zajmowanemi na jednej nitce kanwy, jak to widać ze szlaczku podanego w naturalnej wielkości na ry. 19. Fig. 34 załącza deseń szlaku, narożnik i łatwo będzie ułożyć podług niego. Rycina 18 przedstawia w naturalnej wielkości wykonanie frendzli wiązanej.

Tygodnik Mód

w Warszawie 1876 r.

Strona prawa.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 18 i 19.

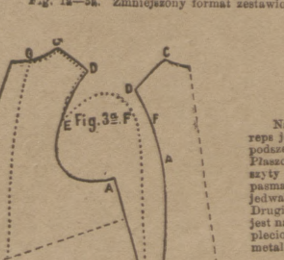
N. I. Płaszczyk wiosenny z peleryną tworzącą rękawy. Ry. 32—33 w Nrze 19.

Fig. 1. Przód (A, B, C, D, E, G) 1 założenie

Fig. 2. Połowa pleców (A, B, C, D, F)

Fig. 3. Peleryna tworząca rękawy (C, D, E, F, G)

Fig. 1a—3a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 1—3.



Na płaszczyk ten odpowiedni jest aksamit, reps jedwabny, dubeltowy kaszmir na jedwabnej podszewce, jako też sukno, szewiot i. t. p. Płaszczyk przedstawiony z tyłu na ry. 33 odszyty z popielatego wigoniu, ozdobiony szeroką pasmanterią i frendzlą z kwaścików. Kołnierzyk jedwabny dopasować można podług fig. 7. Drugi płaszczyk z czarnego materjału, przybrany jest naśladowaniem piór marabout z karbowanej plecionki jedwabnej. Agrafki z oksydowanego metalu.

N. II. Płaszczyk od deszczu z peleryną. Ry. 10 i 11 w N ze 19.

Fig. 4. Przód (H, I, K, L, N, •, ✻)

Fig. 5. Połowa pleców (H, I, K, M)

Fig. 6. Peleryna tworząca rękawy (I, K, L, M) 1 założenie

Fig. 7. Połowa kołnierza (M, N)

Fig. 8. Połowa kieszonki

Fig. 9. Połowa klapki (✻)

Fig. 10. Połowa górnej kieszonki

Fig. 11. Połowa klapki górnej kieszonki (•)

Fig. 4—11a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig 4—11.



N. III. Płaszczyk z kapturkiem dla panienki lat 8—11. Ry. 34—35 w Nrze 19.

Fig. 12. Przód (O, P, Q, R, S, W, X, Y)

Fig. 13. Połowa pleców (O, P, Q, R, ✻, • 1 i ✕ 1)

Fig. 14. Rękaw (S, T. U, V)

Fig. 15. Połowa kapturka (W, •, :, ✻, • 2 i ✕ 2 do • 8 i ✕ 8)

Fig. 16. Kieszonka z oznaczeniem brzegu klapki (X, Y)

N. IV. Stanik, tunika i spódnica do ubrania. Ry. 39—42 w Nrze 19. Miara objętości przez połowę: 45 cent. w górze, 31 w pasie.

Fig. 17. Przód (a, b, i, k, l)

Fig. 18. Boczek przedni (a, b, c, d)

Fig. 19. Drugi boczek (c, d, e, f)

Fig. 20. Pierwsza połowa pleców (e, f, g, h, k)

Fig. 21. Druga połowa pleców (g, h, i)

Fig. 22. Rękaw (l, m, n, o)

Fig. 23. Połowa mankieta (m, o)

Fig. 24. Lewa strona głównej części tuniki (do środka przodu) (p, q) 1 założenie

Fig. 25. Boczny bryt dopełniający lewą połowę tuniki (p, q, • 9 i ✕ 9 do • 13 i ✕ 13) 1 założenie formy

Fig. 26. Wskazanie kroju prawej połowy tuniki i zestawienie części kroju, Fig. 24 i 25.

Fig. 27. Wskazanie kroju spódnicy.

Fig. 27a. Zmniejszony format zestawionych razem brytów spódnicy, Fig. 27.



Fig. 26.

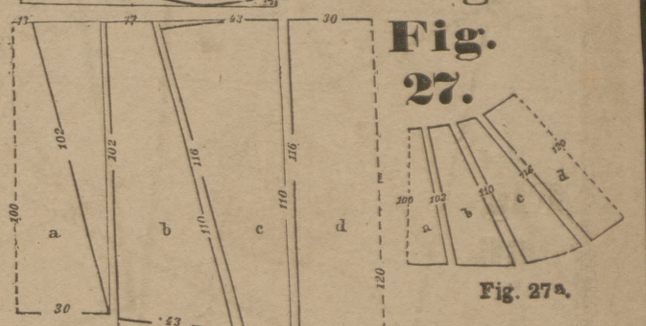


Fig. 27.

Fig. 27a.

N. V. Bluza dla chłopca lat 3—5. Ry. 1 w Nrze 19.

Fig. 28. Przód (r, s, t, u, v, z)

Fig. 29. Połowa pleców (r, s, t, u, y)

Fig. 30. Rękaw (v, w, x)

Fig. 31. Połowa kołnierzyka (y, z)

N. VI. Vêtement formą princesse. Ry. 1 i 11—14 w Nrze 18.

Fig. 32. Przedstawienie kroju vêtement podług naturalnej wielkosci kroju załączonego w dodatku do N. 14 i 15 Tygodnika, N. I, Fig. 1—4.

N. VII. Kieszonka wisząca z koronką wełnianą. Scieg szkocki point lace albo Trina di Lana. Ry. 10 w Nrze 18.

Fig. 33. Połowa kieszonki

Fig. 33a. Część wykładu koronkowego do klapki od kieszonki, Fig. 33.

Opis i naukę ściegu szkockiego point lace (Trina di Lana) podaliśmy przy ry. 4—7 w Nrze 18; kieszonka załączona na ry. 10 odrobiona z czarnej koronki na podłożeniu czarnego aksamitu, Deseń fig. 33a podający więcej niż połowę klapki, odpowiedni jest i na dolną połowę kieszonki.

Fig. 34. Szlak do serwety na kanwie Jawa. Ry. 17—19 w Nrze 18.

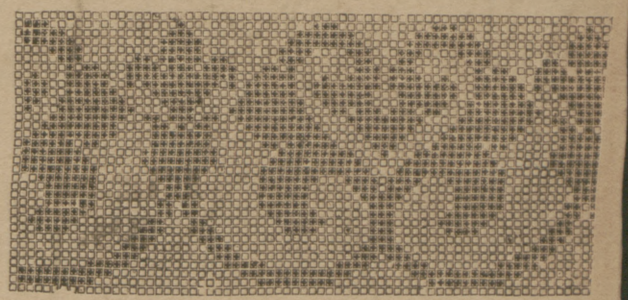


Fig. 34.



Fig. 32.



Fig.